

Hanna Krall
HIPNOZA
Wydanie drugie, zmienione
Wydawnictwo a5 Kraków 2002

Hanna Krall
Hipnoza Reportaże z lat 1986-1989

Projekt okładki i stron tytułowych Frakcja R

Na okładce wykorzystano obraz na szkle
Aliny Towarnickiej-Allerhand
Autoportret z kotem
Foto Marek Gardulski
(c) Copyright by Hanna Krall, 2002
ISBN 83-85568-54-9
Skład i łamanie Sławomir Onyszko
Druk
Drukarnia Narodowa S.A. Kraków, ul. Marszałka J. Piłsudskiego 19

Powieść dla Hollywoodu

1.

Pani, której nie znam, zadzwoniła z wiadomością, że pani, której nie znamy obie, chciałyby mieć o sobie książkę. Tę książkę miałabym ja napisać.

- Czy jej życie zasługuje na opisanie? - spytałam, ale moja rozmówczyni nie miała pojęcia o życiu owej pani.

- Czy ona mi zapłaci? - spytałam. Moja rozmówczyni nie miała również pojęcia o stanie jej finansów, ale podała mi adres. Osoba, w imieniu której dzwoniła, mieszka w Izraelu. Napisałam do niej list. Był to krótki, rzeczowy list człowieka interesu. Podobno chce pani mieć książkę o sobie - pisałam. - Jeśli pani życie nadaje się na książkę, napiszę ja, ale, oczywiście, to musi kosztować.

Nigdy nie pisałam podobnych listów, ale też nigdy przedtem nie miałam córki-emigrantki. Moja córka i mój wnuk mieszkali od niedawna w Kanadzie, a bilet do Kanady nie jest tani. Za bilety do córki - pomyślałam - mogę wynająć się do opisanego życia.

Usługa, jaką miałam wykonać, jest częstym zajęciem niezamożnych literatów na Zachodzie. Mówi się o takim ghost-writer. Pisarz-duch, piszący anonimowo, za kogoś, za pieniądze.

W odpowiedzi moja ewentualna bohaterka zaproponowała mi przyjazd do Izraela.

W Jerozolimie miała się odbyć międzynarodowa konferencja poświęcona historii i kulturze polskich Żydów, wszystko układało się więc pomyślnie. Napisałam ewentualnej bohaterce, że przyjadę do niej po konferencji. Ona opowie mi swoje życie, ja przedstawię warunki. Jeśli się nie dogadamy - nic nie szkodzi. Poznamy się, wypijemy razem herbatę i miło się pożegnamy. Może nawet polubimy się. Przez tydzień mieszkałam w Jerozolimie. Od czasu do czasu rozmawialiśmy z ewentualną bohaterką przez telefon. Już wiedziałam, że mieszka w Izraelu od niedawna, ma tam dwie córki, a podczas wojny była w Oświęcimiu.

- Dużo było książek o Oświęcimiu - powiedziała rozczarowana.

- Ja wiem - powiedziała ewentualna bohaterka - ale ja byłam inaczej.

- Nic lepszego od Tadeusza Borowskiego i od Primo Levi już sienie napisze...

- Byłam i w paru innych miejscach - powiedziała moja e.b. (ewentualna bohaterka).

Któregoś dnia zadzwoniła z wiadomością, że na przyjęciu towarzyskim spytano ją, jak często zmieniali im, w tym Oświęcimiu, bieliznę pościelową. - Była to młoda osoba - dodała e.b. -ale mimo wszystko... (Odniosłam wrażenie, że jest bliska płaczu).

- Proszę się nie przejmować - pocieszyłam ją. - Pewna dziennikarka z Tel Awiwu prosiła wczoraj, żeby jej przeliterować nazwisko Mordechaja Anielewicza. Młoda dziennikarka, ale mimo wszystko...

- No właśnie - westchnęła e.b. i obie zamilkłyśmy.

Konferencja się skończyła, wieczorem zawieziono mnie do miasta, w którym mieszka ewentualna bohaterka mojej-niemojej książki.

Jechaliśmy w ciemnościach, wzdłuż ogrodów i domów willowych. Przed domem z numerem 98 wysiadłam z auta i zadzwoniłam do drzwi.

Otworzyła mi starsza pani.

Stała w głębi, w jasnym świetle, jak w punktowym reflektorze, który ją wydobywał z czarnej scenerii. Miała bujne, siwe, wysoko upięte włosy, duże brązowe oczy, niepewny uśmiech i uważne spojrzenie.

- Tak właśnie powinna pani wyglądać - ucieszyłam się - ale ja muszę teraz iść spać.

Podawała mi herbatę w beżowym salonie, pokazała mi różową łazienkę, wielkości mojego największego warszawskiego pokoju, i zaprowadziła do białej sypialni. Rano przeczytałam jej relację złożoną w Instytucie Pamięci, Yad Yashem, w Jerozolimie.

- Dobrze - powiedziałam. - O tym można pisać. Ile mi pani zapłaci?

- Ile pani sobie życzy.

Wymieniłam kwotę, którą była równowartość dwóch biletów do Kanady w obie strony plus na telefony - też do Kanady.

- Dobrze - powiedziała moja e.b., a ja natychmiast pomyślałam z żalem, że powinienam podać kwotę trochę wyższą.

- Zachodniemu autorowi zapłaciłaby pani dziesięć razy więcej - dodałam wielkodusznie (była to prawda).

- Wiem - zgodziła się e.b. - ale ja nie mam pieniędzy na zachodnich autorów. To jest dom mojej córki. Żyję z renty. Żeby pani zapłacić, wezmę posadę opiekunki u starej, ślepej, półgłuchej kobiety, która słyszy tylko niskie dźwięki. Mówię do niej głosem brzuchomówcy...

- To ja mam lepiej - ucieszyłam się. - A po co pani właściwie ta książka? Ta książka była jej potrzebna na film.

Książka powinna stać się światowym hitem, a film powinien powstać w Hollywood. Jej życie - mówiła - było niezwykle, chciałyby opowiedzieć o nim ludziom. Poza tym chciałyby zarobić pieniądze na parę rzeczy. Na swoje przyszłe mieszkanie w pensjonacie dla starców. Na pomoc dla starszej córki, która sobie nie radzi. Na operację plastyczną. Na opiekę nad mężem, kiedy zniedołężnieje...

- Proszę pani - wyznałam ze skruchą. - Żadna moja książka nie stała się światowym hitem. Może poza jedną, ale to było

o człowieku, który dowodził powstaniem w getcie. Jest pewna różnica między wami, mimo wszystko. Zresztą i na tej książce nie zarobiłam dużych pieniędzy... Czy pani jest pewna, że to ja powinienam dla pani pisać?

Nie była pewna, ale nie miała innej rady. Proponowała to wcześniej znanemu polskiemu pisarzowi, mieszkającemu w Izraelu, ale się nie zgodził. Powiedział, że opisuje tylko własne historie, nie cudze, i poradził, żeby napisała sama.

- To bardzo proste - wyjaśnił. - Weźmy tę scenę, kiedy wiezie pani do Wiednia tytoń na przemyt w czarnej, lakierowanej walizce. Wchodzi pani do przedziału, stawia pani walizkę na półce i siada. Po chwili wchodzi wysoki, przystojny esesman z walizką z żółtej, świńskiej skóry. Stawia ją obok tamtej i siada naprzeciwko...

- I co dalej? - spytała pisarza moja e.b.

- Dalej to już musi pani sama wymyślić - wyjaśnił pisarz. -Ma pani zagadkę, którą trzeba rozwikłać. Na tym właśnie polega literatura.
- Ale niech pan chociaż powie, co on miał w tej żółtej walizce
- upierała się moja e.b.
- A skąd ja mogę wiedzieć? - obruszył się pisarz. - To pani ma wiedzieć, nie ja.
- Przecież ja nie potrafię o własnej, czarnej walizce napisać, to mam jeszcze opisywać jego zmyśloną żółtą?
- Na tym polega literatura - powtórzył pisarz i rozłożył ręce.
- I tak dużo pani powiedziałem.

Tak skończyła się próba pozyskania znanego pisarza dla Hollywoodu. Pozostałam już tylko ja. Ponieważ napisałam Zdażyć przed Panem Bogiem, w którym widać, że rozumiem Żydów, i ponieważ napisałam reportaże Sześć odcieni bieli, w których widać, że rozumiem miłość. A te dwie sprawy muszę rozumieć, by napisać książkę o niej. Książkę, za którą kupi sobie mieszkanie w domu starców i zrobi operację plastyczną, i tak dalej.

Czułam się, prawdę mówiąc, trochę dotknięta, że nie jestem pierwsza, do której e.b. zwróciła się ze swoją propozycją, ale szybko przemnożyłam honorarium przez czarnorynkowy kurs

dolara i podzieliłam przez cenę biletu do Kanady. Wyszło mi, że jeśli będziemy z mężem rzadziej dzwonić i w ogóle jeśli będziemy żyli oszczędnie, to pojedziemy do naszych dzieci dwa razy.

- Dobrze - powiedziałam. - Napiszę pani tę książkę. Tylko wie pani co? My mamy różne poglądy na literaturę. Pisarz i ja. Mnie się zdaje, że literatura na czym innym polega... Czy to pani nie przeszkadza?

- Nie - odparła e.b. - Byleby z tego wyszedł film dla Hollywoodu.

Poprosiłam o papier i kawę z mlekiem, rozsiadłam się w beżowym fotelu i spytałam, kim byli jej rodzice.

2.

Książka o Izoldzie R. - jest to prawdziwe, przedwojenne imię mojej bohaterki, obecnie nazywa się inaczej - pisana dla mnie, nie dla Hollywoodu, powinna się zaczynać następująco:

"Izolda R., niewysoka brunetka, o dość długich nogach i udach, które lubiła określać jako «pełne i krągłe» (uważała, że masyw-ność i długość nóg przydaje jej wzrostu), poznała swojego przyszłego męża w pierwszym roku drugiej wojny światowej. Wkrótce po ich ślubie zaczęto wznosić mur wokół dzielnicy żydowskiej. Przed pierwszą rocznicą ich ślubu mur zamknięto. Izolda R., córka chemika, właściciela sporej kamienicy na rogu Ogrodowej i Żelaznej, musiała nauczyć się pielęgnowania chorych na tyfus. Szło jej dobrze. W dzień pracowała w szpitalu, w nocy - u prywatnych pacjentów. Prywatni umierali równie często, ale w czystej pościeli, z rodziną dookoła, z lekarzem, i ona wolała luksusowe umieranie bogatych niż śmierć biedaków w szpitalu. Do domu wracała nad ranem. Widywała wtedy tych, których nie stać było nie tylko na prywatną pielęgniarkę, ale nawet na pogrzeb. Krewni wynosili ich z domów, układali na chodnikach, przykrywali gazetami, a gazety umacniali dookoła kamieniami od wiatru. Później jeździły po mieście

wózki towarzystw pogrzebowych, które zbierały ciała, ale Izolda R. wracała wcześniej, nim jeszcze towarzystwa pogrzebowe przystępowały do pracy".

Tak powinna się zacząć moja książka, ale natychmiast stało się jasne, że tak się zacząć nie może - z dwóch powodów. Po pierwsze - żaden amerykański czytelnik nie zrozumiałby, o co chodzi: jaki tyfus? jaki mur? co to za zwłoki? Kto wie nawet, czy przy słowach "drugiej wojny światowej" nie należałoby podać w nawiasach dat: (1939-1945). Po drugie - przy takim gospodarowaniu materiałem napisałabym reportaż, niezły chyba, ale na osiemdziesiąt stron, a powinnam napisać dużą powieść.

- Taki gruby buch, pani Haniu - tłumaczyła mi bohaterka. -Przynajmniej jak Ingeborga Kellermanna. Nie czytała pani? To najpiękniejsza rzecz o miłości. Tak się w niej wszystko czuje - tę jego rozpacz, tę miłość, ten ból... Już mnie pani rozumie?

Rozumiałam.

Rozumiałam też, że nie mam żadnego pomysłu na gruby buch, w którym się czuje rozpacz i miłość.

Po powrocie do Polski zadzwoniłam do Krzysztofa Kieślowskiego. Stał się światowym reżyserem i powinien wiedzieć, jak się dla Hollywoodu pisze.

Opowiedziałam mu historię Izoldy R.

- Niezłe - orzekł. - Amerykańscy Żydzi mają już dość Żydów-ofiar, Żydów-poniżonych, bezwolnie wleczonych na śmierć. Twoja bohaterka walczy i zwycięża - i to jest temat en vogue, w sam raz dla amerykańskiego producenta.

- W takim razie, Krzysiu, bądź tak dobry i napisz mi początek. Nic długiego, parę zdań, typowy Hollywood, żebym tylko zobaczyła, jak to się robi.

Krzysztof Kieślowski jest nie tylko światowy, ale i bardzo koleżeński. Poszedł do domu, wykręcił z maszyny swój scenariusz, wkręcił czystą kartkę i napisał: Miał ręce dokładnie takie jak we włoskim albumie, narysowane przez Leonarda da Vinci. Skąd Leonardo wiedział, że akurat on będzie miał takie ręce? I że ona, która od dziecka, co jakiś czas, kiedy ojca nie było w domu, włąziła na krzesło i ścigała album z najwyższej półki,

10

by popatrzeć na te ręce - że ona spotka je i ich dotknie? Szczupłe, wyraźne dłonie z długimi palcami, do których idealnie pasowałaby wąska, złota obrączka, najwęższa z tych, jakie widziała w życiu, na palcu zmarłej ciotki ubieranej do trumny, tylko taka obrączka, nic więcej. Pasowałaby i dlatego, że prawie nie byłoby jej widać - miał skórę koloru złota. Nie opaloną, nie smagłą, a właśnie koloru złota przez cały rok, w zimie także... Te ręce wyglądały jak dekoracja, gdy kładł je na oparciu fotela, a teraz - nie zdając sobie z tego sprawy - ręce uwznio-ślały jej ramie, jej dłoń...

Tak, to było to. Pojętnie uzupełniłam tekst scenerią pierwszego rozdziału: brzoźowym zagajnikiem, rozpalonym mchem i gorącym światłem, drżącym wśród gałęzi. Przesunął rękę po jej szyi... - dodałam i dalej już następował opis złotej skóry. Tylko przeciw zmarłej ciotce, ubieranej do trumny, zbuntowałam się i ją wykreśliłam.

Opis okazał się proroczy, jak rysunek Leonarda da Vinci. Mąż Izoldy R., którego poznałam później, w Wiedniu, miał dokładnie takie ręce, jakie opisał Krzysztof Kieślowski.

3.

Kiedy w relacji Izoldy R. zamykano getto, kiedy na ulicach pojawiły się zwłoki ludzi zmarłych z głodu i na tyfus, przykryte gazetami, po raz pierwszy pomyślałam, że dam sobie spokój z Hollywoodem. Bardzo możliwe, że Amerykanie potrafiliby taki film nakręcić - zbudować makietę getta, zaludnić ją wychudzonymi ludźmi, ułożyć wzdłuż ulic manekiny przykryte gazetą - Amerykanie potrafią wszystko, ale mnie opuściła wena, której wymaga gruby buch. Zaczęłam się natomiast zastanawiać nad czymś innym: jakież to gazety leżały w getcie na zwłokach? Wszystkie pamiętniki wspominają o nich - o gazetach, przyciśniętych kamieniami od wiatru, ale nikt nigdy nie sprecyzował, o jakie chodziło. Mało to ważne, wiem, ale - jakie gazety? Przedwojenne? Ludzie w getcie po wiele razy zmieniali mieszkania, a nie wlekli chyba w przeprowadzkach starej makulatu-

11

ry. Okupacyjne? Polski "Nowy Kurier Warszawski" sprzedawany był w żydowskiej dzielnicy tylko z początku, później kolportażu zakazano i przemycano go z aryjskiej strony po wyższej cenie. Czy ktoś, kogo nie stać na pogrzeb, kupuje gazetę na czarnym rynku? Gazetki okupacyjne odpadają: były za małe. Co można

zasłonić "Biuletynem Informacyjnym" albo "Ojf der Wach" formatu A4, czyli wielkości kartki do maszyny? Kładąc wzdłuż, zasłoni się rękę poniżej łokcia, i to bez palców, wszerz - dłoń, najwyżej.

W dodatku - uprzytomniłam sobie, że mimo przeczytanych książek, mimo własnej, o Marku Edelmanie - nie potrafię sobie wyobrazić codzienności getta, w której żyła Izolda R. Spytałam Rutę Sakowską - najlepszą w Polsce znawczynię getta warszawskiego - o stosowną lekturę. Powiedziała - Może "Gazeta Żydowska"? Wychodziła przez dwa lata po polsku, za zezwoleniem władz. Miała duży format i codziennie osiem stron. Kosztowała trzydzieści groszy, cena była przystępna. Tylko ta gazeta zamieszczała bieżące informacj'e i komunikaty, więc czytano ją. Czy nie ona to pełniła później dodatkową funkcję: całunu? Osiem stron - dwie duże płachty...

"Gazeta" zamieszczała wiadomości neutralne. Żadnego głodu, żadnych transportów, żadnej Treblinki w niej nie było. Na odwrót. "Gazeta" miała uspokajać i zapewniać o normalności świata.

A oto wiadomości, którymi przykrywano zwłoki na ulicach getta.

O przydziałach żywności:

Zakład Zaopatrzenia rozda w marcu na kupon 51 kart aprowizacyj-nych koloru żółtego po 50 dkg kapusty kwaszonej i po 10 dkg buraków konserwowych za łączna cenę 1.50 gr...,

Przydział 4 kg chleba na osobę miesięcznie - pracownikom zatrudnionym w przedsiębiorstwach aryjskich, przydział specjalny 2,6 kg chleba - osobom wykonującym zajęcia użyteczne...

Jak wiadomo na miesiąc kwiecień otrzymywać będziemy chleb tylko na bony od numeru 3 do 8. Dwa numery kwietniowe odebraliśmy już w okresie przedświątecznym.

12

O definiq'i pojęcia "Żyd" według Dziennika Zarządzeń Generalnego Gubernatorstwa numer 48, część pierwsza:

Żydem jest ten, którego co najmniej trzej dziadkowie są pod względem rasowym pochodzenia czysto żydowskiego, za Żyda uważa się tego, którego dwaj dziadkowie są pod względem rasowym pochodzenia czysto żydowskiego

a) o ile w dniu 1 września 1939 należał do Żydowskiej Gminy Wyznaniowej,

b) o ile w chwili wejścia w życie rozporządzenia był w związku małżeńskim z Żydem,

c) o ile pochodzi z pozamałżeńskiego obcowania z Żydem i urodzi się po dniu 31 maja 1941.

Przez pojecie "żydowski mieszaniec" należy rozumieć...

O koszerności sacharyny:

według orzeczenia rabinatu wolno w nadchodzące Święta Wielkanocne używać sacharyny jedynie w kryształkach rozpuszczonych w wodzie i precedzonych jeszcze przed świętami.

O rocznicy zburzenia Świątyni w Jerozolimie:

Lat temu 1870 straciliśmy nasz kraj. Straciliśmy ziemię... Burza dziejowa gna łódź naszego bytu... Kto wie, może ku przystani trwałej, stałej...? Siedzi samotnie w milczeniu - powiada prorok Jeremiasz o postawie narodu w nieszczęściu - gdyż godnie wzięł na siebie swój los...

O nieszczęśliwych wypadkach:

przy ulicy Zamenhofs 13 wyskoczyła z trzeciego pietra 17-letnia dziewczyna nie ustalonego nazwiska, ponosząc śmierć na miejscu.

Dawid Feldmacher zamieszkały przy ulicy Gęsiej 105 skacząc z IV pietra na asfalt podwórza...

O pierwszej pomocy lekarskiej:

Powieszenie. Powieszonemu należy natychmiast odciąć i stosować sztuczny oddech...

O zakładach pogrzebowych:

znany z długoletniej działalności Natan Wittenberg, do czasu wojny sekretarz Zakładu "Ostatnia Posługa", założył nowe biuro pogrzebowe "Ostatnia Droga" i prowadzi je pod swoim sprężystym kierownictwem przy Grzybowskiej 23.

13

Żydowskie Biuro Pogrzebowe "Wieczność" zawiadamia o wprowadzeniu pierwszych w Warszawie karawanów pogrzebowych na wózkach rowerowych pomysłu właściciela Biura. Karawany rowerowe na czterech kołach, obsługiwane przez dwóch rowerzystów-żałobników są estetyczne i praktyczne pod wieloma względami. Mogą one pomieścić jednocześnie cztery trumny. Tym sposobem konduktory pogrzebowe nie tamują ruchu ulicznego, a przedsiębiorca zyskuje na czasie.

O znalezionych:

na ulicy Zamenhofa znaleziono dziecko płci męskiej w wieku 4 miesięcy. Przy dziecku znaleziono kartkę: "miłosierdziu ludzkiemu, w które jeszcze wierzy - nieszczęśliwa matka". Dziecko oddano do domu podrzutków.

O rabinie z Sasowa:

powiedział kiedyś - "gdy ktoś do ciebie przyjdzie i poprosi o pomoc, czyń tak, jakby żadnego Boga nie było i jakby na całym świecie była tylko jedna istota, która może mu pomóc, mianowicie ty sam". O upominkach:

dla funkcjonariuszy Służby Porządkowej najmiłszy upominek to artystycznie wykonany sygnet pamiątkowy z oznaczeniem szarzy. Gra-wer Jakubowicz, Leszno 65.

O modzie:

sygnał z Londynu zwiastuje dla mężczyzn na uroczystości wielkiej wagi powrót do cylindra. Posiadacze więc cylindrów nie noszonych winni oddać je niezwłocznie do Kellera. Tam poza cylindrami cerują dziury w swetrach, obrusach i garderobie.

Ani Arystotelesowi, ani Sokratesowi nie śniło się, by z najbardziej zatłuszczonego kapelusza męskiego można było otrzymać zupełnie nowy, a jednak tak jest. Wiadomość - Keller... O opaskach z gwiazdą:

unikniesz kary za nieprzepisowe opaskę używając przepisowej, z kauczuku, z tłoczone i niezmywalną gwiazdą, z praktycznymi urządzeniami zapinkowymi. O jasnowidzach:

jasnowidz - psychografolog wyjaśnia wszelkie sprawy, także zaginionych.

Zdumiewająco przepowiada przyszłość. O Alasce:

14

skarby nie wyzyskane i tylko 500 Żydów. Zamieszczamy przegląd struktury tego kraju, który kto wie, czy nie stanie się nową ojczyzną dla wielu naszych czytelników. Rzeki i jeziora tundr kryją w sobie bogactwo łososi... Różne: pluskwy tępimy radykalnie gazami pod gwarancją, szczepienia przeciwtyfusowe, dla uchodźców i pogorzalców ulgi, lekarz-izraelita-kawaler poszukuje żony z zezwoleniem na wyjazd do USA lub do innego kraju zamorskiego, "Nowy Azazel" - teatr, Nowolipie 72 - "Bóg zemsty", codziennie, 17 lipca 1942, piątek, zapalenie świec w Warszawie - 20.36...

4.

Kiedy zaczął się Umschlagplatz i transporty do Treblinki, Izolda R. zrozumiała po co jest. Jest po to, by uratować swojego męża. Siebie i rodzinę również, ale było to mniej ważne. Jedynym człowiekiem, który MUSIAŁ żyć, był on. Trudno wyjaśnić, dlaczego. Bo miał smukłe dłonie? Bo miał gęste, proste włosy, które przylegały do głowy jak złoty hełm? (Nie tylko skórę miał złotą, włosy również). A może bez żadnego powodu? Musiał żyć, to wszystko.

Izolda R. wydostała się z getta pierwsza, żeby przygotować kryjówki. (Ostatni dzień przed wyjściem spędziła na Umschlag-platcu. Ostatnią noc, już po stronie aryjskiej, przesiadła na sedesie ogólnej ubikacji trzęsąc się ze strachu, że ktoś zechce się załatwić i ją znajdzie). Poszła do Zofii Romerowej, znajomej z przedwojennego lotniska.

Zofia Romerowa nie zdziwiła się na jej widok i nie zlekła. Pogłaskała ją po brudnych, potarganych włosach i powiedziała - "Nie płacz. Nam nie wolno płakać."

Powiedziała NAM. Do Izoldy Jakby osoba, która próbuje schować się w beczce stojącej na Umschlagplatzu, a potem się trzęsie na sedesie ogólnej ubi-kaq'i, była tyle samo warta co żona polskiego majora w niewoli, trzymająca w stole broń i konspiracyjne ulotki. Dla Izoldy R.

15

nie ulegało wątpliwości: po aryjskiej stronie żyli jacyś inni ludzie, lepsi ludzie, skoro o tyle było im lepiej, skoro nikt nie zaganiał ich na plac ani do wagonów - i Zofia Romerowa krótkim słowem nam ją do tych lepszych włączała. Tego samego dnia Izolda R. odwiedziła swojego przedwojennego, zaufanego fryzjera i przemieniła się w blondynkę. Z ciemnymi oczami, co prawda, ale miała nadzieję, że długość jej jasnopopielatych włosów i masywnych nóg odwróci uwagę najwytrawniejszego szmalcownika. Wróciła od fryzjera zadowolona z siebie, weszła do kuchni pani Romerowej - siedział w niej dozorca domu - i swobodnym gestem dużej blondyny postawiła na stole torbę.

- Maryniu - powiedziała surowo pani Romerowa. - Zdejmij-że tę torbę, stawiasz ją jak Żydówka. Pani Romerowa tłumaczyła jej później, że odżywka miała uspić podejrzenia dozorca, że wszystko więc było dla jej dobra, ale od tej chwili, kiedykolwiek Izolda R. stawiać będzie torbę, pomyśli - czy jak Żydówka ją stawiam?

Po wyjściu dozorca zaczęła ćwiczyć aryjskie stawianie: na podłodze, na kanapie, na taborecie, na krześle... Za każdym razem przyglądała się sobie i torbie: po żydowsku stoi? W przyszłości miała także ćwiczyć inne aryjskie rzeczy: aryjskie chodzenie, aryjski głos i nawet aryjskie schylenie się do tablicy (to już po wojnie, w szkole pielęgniarskiej, gdy jedna z koleżanek rzuciła żartobliwą uwagę: "Schylasz się przy tablicy jak Żydówka") - ale pierwsza lekka odbyła się właśnie wtedy - w kuchni pani Romerowej. Wizyta u pani Romerowej miała bowiem wpłynąć na całe życie Izoldy R. Od tej to wizyty Izolda R. postanowiła należeć do lepszego, polskiego świata. I podczas tej wizyty, błahą odżywką o torbie od razu została przez ten świat odtracona. Tak miało już pozostać. Pragnienie polskości - i odtraćenie.

Przemieniwszy się w dużą blondynę, Izolda R. wyprowadziła z getta swojego męża; wyszli z polskimi robotnikami, którzy legalnie pracowali w getcie przy rozbiórcze domów. Wyprowadziła także matkę, później - kanałami - wyszli jego rodzice i sio-

16

stra. Rodzicom, podobnym do Żydów i źle mówiącym po polsku, znalazła mieszkanie, w którym nie podnosili się z podłogi; okna były duże i byliby widoczni z ulicy. Ona z mężem i matką zamieszkali w Wesołej, w małym letniskowym domku. Sąsiedni pokój zajmowała kobieta z córką. Dziewczyna była upośledzona umysłowo, ale miała piękny głos i w pociągu elektrycznym na trasie Warszawa-Mińsk Mazowiecki śpiewała piosenki (najchętniej kołysankę Brahmsa: Jutro znóóów, jak Bóg daaa, wstaniesz wesół i zdróóów...), a matka dziewczyny zbierała pieniądze do płóciennego woreczka.

Któregoś dnia Izolda R. wiozła riksą na dworzec toból z pościelą. W Alejach Jerozolimskich zatrzymał ich policjant. Obrzucił Izoldę R. krótkim, fachowym spojrzeniem i kazał riksarzowi jechać na Chmielną. Był tam hotel. W pokoju hotelowym policjant powiedział: - Jesteś Żydówką, ale ja nie chcę ci zrobić krzywdy. Rozbieraj się. Nie był to gwałt. Izolda R. rozebrała się sama i porządnie powiesiła rzeczy na krześle. Z łóżka przyglądała się, jak policjant zdejmuje mundur i odkłada pas z kaburą. Kiedy już leżał na niej, pomyślała, że mogłaby przesunąć rękę i wyjąć z kabury rewolwer. Pomyślała, że pani Romerowa tak pewnie zrobiłaby, ale ona leżała spokojnie. Policjant skończył, ubrał się, powiedział: - Masz szczęście, że trafiłaś na porządnego człowieka - zsalutował i odszedł. Ona pojechała z pościelą na dworzec i wsiadła do pociągu. W połowie drogi usłyszała zbliżający się śpiew swojej sąsiadki: Jutro znóóów, jak Bóg daaa. Wrzuciła do płóciennego woreczka całe pięć złotych. Z radości, że wszystko

trwało tak krótko i że trafiła na porządnego człowieka, który nie chciał jej zrobić krzywdy. Przyjechała do domu, ucałowała męża na przywitanie, dała mu obiad, a kiedy wyszedł - umyła się i zmieniła bieliznę.

Moja bohaterka opowiedziała o policjancie bez zażenowania i bez hysterii. O wszystkim tak mówiła - precyzyjnie, rzeczowo, jakby nie pamiętając, że ma z tego wyjść wiadomy buch. Czasami próbowała zrozumieć siebie ówczesną. Czasami rezygnowała z rozumienia, zakładając, i słusznie, że dziś już zrozumieć się nie da, pozostaje więc maksymalna rzeczowość. To spokojne

17

oddalenie od TAMTEGO sprawiało wrażenie, jakby między przeszłością i nią zawisła teatralna, przezroczysta, niewidzialna kurtyna.

Siedziałyśmy więc w beżowym salonie, popijając herbatę i pogryzając czekoladki, a za przezroczystą kurtyną Izolda R. żegnała się ze swoją najlepszą przyjaciółką Basią Gajer. Basia uwierzyła Niemcom, że Żydzi - posiadacze zagranicznych paszportów, będą mogli wyjechać z Polski. Działo się to w Hotelu Polskim, na Długiej. Basia miała na sobie sweter z różnokolorowych resztek wełny, który zrobiła sobie na drogę, i pokazywała Izoldzie ścieg i spód, pełen supłów, wykończony różową podszewką. Kiedy Izolda R. znalazła się później w Oświęcimiu, zaraz pierwszego dnia zobaczyła sweterek Basi Gajer. Nosiła go funkcyjna więźniarka na kwarantannie. Z całą pewnością ten sweterek: z różnokolorowych resztek, starannie wykończony różową podszewką.

Rano Niemcy otoczyli Hotel. Podzielili wszystkich na dwie grupy, polską i żydowską. Izolda R. pokazała aryjskie dokumenty i stanęła z innymi Polakami, którzy przyszli się pożegnać; Żydów wywieziono do Bergen-Belsen; Polaków - na Pawiak. Za niewidzialną kurtyną wytwornego, beżowego salonu, pełnego obrazów, książek i płyt, wyłoniła się cela Pawiaka, z dwudziestoma czterema więźniarkami. Każdego ranka, po śniadaniu, myły kolejno podłogę, a kiedy przyszła kolej Izoldy R., okazało się, że ona myć nie potrafi. Dwadzieścia trzy kobiety przyglądały się ze zdumieniem, jak nieporadnie zanurza ścierkę w wiadrze, jak wyżyma, i pytały: - Czy ty nigdy jeszcze nie umyłaś podłogi? Zgodnie z prawdą powiedziała, że nie, że służąca myła za nią. Wśród więźniarek były i inne kobiety zamożne, które jednak myły podłogę z wprawą i nikt im się nie przyglądał. Napełniło ją to niepokojem, bo znowu była inna od wszystkich. Nie miała wprawdzie torby do żydowskiego stawiania, ale okazało się, że i ścierkę można inaczej zanurzać i że jej zanurzanie nie było z całą pewnością zanurzaniem polskim.

Korytarz na Pawiaku był długi, po obu stronach ciągnęły się drzwi do cel. Kiedy je wyprowadzano do ubikacji, można było

18

szybko zajrzeć przez "judasza" do celi, o której wiedziano, że jest cela żydowska. Izolda R. zaglądała tam za każdym razem i któregoś dnia zobaczyła matkę swojego męża, którą niedawno ulokowała w mieszkaniu z dużymi oknami. Matka siedziała zwrócona twarzą do drzwi, jakby patrzyła przez "judasza" wprost na nią i poruszała przecząco głową. Ten stały tik pozostał jej po dawnym, niewielkim wylewie i nadawał twarzy wyraz pogodnego niedowierzania. Twarz oglądana przez "judasza" mówiła teraz: "Jestem na Pawiaku, czy dasz wiarę?".

Izolda R. wróciła do celi. Miały tam dwie nowe, młode więźniarki, przywiezione na Pawiak poprzedniego dnia.

- Kogo wieźli z wami? - spytała. - Wieźli może mężczyznę, takiego blondyna, wysokiego i przystojnego?

- Wieźli - powiedziały dziewczyny.

- A jak siedział? - spytała Izolda R. - Siedział może z rozstawionymi kolanami, z rękami spuszczoneymi bezwładnie?

Tak właśnie siedział przystojny blondyn, a obok starszy siwy mężczyzna. Tylko młodej, tlenionej blondynki z nimi nie było.

Wszystko stało się jasne: złapali męża i jego rodziców, udało się uciec tylko siostrze.

Izolda R. pomyślała, że chciałyby umrzeć, natychmiast, jeszcze w celi. Rozejrzała się. Czy one - myślała o sąsiadkach - na moim miejscu też chciałyby umrzeć? Czy kobiety, które potrafią należycie wykręcić ścierkę, umierają z miłości?

Nie rozumiała, jaki istnieje związek między ścierką a umieraniem z miłości, ale była go pewna. Kobiety z celi były z lepszego świata. W lepszym świecie stawia się należycie torbę, podłogę się porządnie szoruje... W lepszym świecie sięga się po rewolwer policjanta leżący obok... W lepszym świecie żyje się po śmierci męża, ponieważ żyje się dla sprawy. Czy to jej wina, że nie miała żadnych spraw poza swoim mężem?

Nazajutrz wyprowadzono je na spacer.

W połowie spaceru z więziennego budynku wyszło na ganek pięć kobiet. Była to cela żydowska. Wyprowadzono je na rozstrzelanie. Jedną z kobiet była matka jej męża. Żydówki szły gankiem, potem schodami, potem skierowały się na podwórze.

19

Izoldę R. ogarnęło przerażenie. Kiedy skręca w lewo, matka może ją zauważyć. Może poznać ją. Zrobić jakiś gest. Matka może ją zdradzić... Izolda R. nosiła na szyi łańcuszek z Matką Boską, który dała jej pani Romerowa pierwszego dnia ze słowami: "Jesteś teraz pod Jej opieką i nic złego ci się nie stanie". Izolda R. dotknęła tego medalika ręką i zaczęła się modlić. -Matko Boska - modliła się. - Niech ona nie patrzy tutaj. Matko Boska, niech ona tylko na mnie nie patrzy... Żydowska cela wciąż szła przez podwórze, matka jej męża szła na śmierć, a ona prosiła Matkę Boską, żeby szły na tę śmierć trochę szybciej. Wreszcie zobaczyła plecy matki, kobiety zniknęły za budynkiem. Poczuli ulgę. Po chwili usłyszała pięć strzałów. Pomyślała: za chwilę wyprowadzą na rozstrzelanie mojego męża. Po dwóch dniach dostała od męża gryps. Okazało się, że w tamtym samochodzie jechał na Pawiak inny piękny blondyn, z innymi rękami opuszczonymi bezwładnie. Po naszej strome przezroczystej kurtyny moja bohaterka podniosła się z fotela i zapaliła lampę.

- Rano nie chciałam żyć, a kiedy matka przeszła, poczułam ulgę... Czy pani coś z tego rozumie, pani Haniu?

Nie zastanawiałam się, czy rozumiem, bo zaprzętała mnie inna myśl. Czuliłam, jak wypełnia mnie uczucie znane od lat, od kiedy zaczęłam pisać reportaże. To uczucie pojawiała się wtedy, gdy miałam przed sobą świetnego bohatera. Gdy miałam przed sobą - temat. Izolda R. opowiadała mi, jak na podwórzu Pawiaka modliła się o szybszą śmierć dla matki, a ja myślałam, że to jest wspaniała scena. - Czy pani coś z tego rozumie? - mogłam spytać, ale wstydziłam się i poprosiłam Izoldę R., żeby mi naszkicowała podwórze Pawiaka. - Jakby moje opisywanie było ważniejsze niż ich śmierć... - myślałam ze skruchą, podczas gdy Izolda R. tłumaczyła mi topografię zdarzenia. - Jakby one szły po to, bym je mogła opisać... A jednak - próbowałam usprawiedliwić się - ta rzecz powinna być zapisana. I matka, idąca na śmierć, i modlitwa Izoldy... Więc jeżeli należy to zapisać, powinno być zapisane dobrze. By ktoś, kiedyś, jeśli prze-

20

czyta... Hanna Arendt przeczytała wszystkie książki świata, a jednak nie rozumiała, dlaczego Żydzi szli bezwolnie na śmierć. Czy to w ogóle da się opisać tak, by zrozumieli?

Przypomniała mi się historia, którą opowiedział mi pewien kompozytor, więzień Oświęcimia. Kiedy zaczynała się ewakuacja obozu, ustawiono kilkuset mężczyzn czwórkami i poprowadzono do wagonów. Pierwsze czwórki zaintonowały "Warszawiankę", po chwili śpiewała cała kolumna. Wtedy Niemcy postanowili zrobić kawał i w miejscu, gdzie drogi rozwidlały się, skierowali więźniów nie do wagonów, lecz w stronę komory gazowej. Polacy śpiewali właśnie: Hej kto Polak na

bagnety..., ale słów: Żyj swobodo, Polsko żyj pierwsza czwórka już nie zaśpiewała. Pierwsza czwórka umilkła i skręciła do komory. Potem umilkła druga czwórka. Potem trzecia. Potem cała kolumna szła - nie maszerowała już, tylko zwyczajnie szła, czy raczej posuwała się, powłócząc nogami - w kompletnej ciszy, w odrętwieniu. - Nie myślałem o niczym - opowiadał kompozytor. -Wiele razy próbowałem sobie później przypomnieć, o czym myślałem i doszedłem do wniosku, że o niczym. Ani o żonie, ani o rodzicach. Moje nogi przemieszczały się bezwolnie, moje ciało przemieszczało się pozbawione całkowicie świadomości. Parę metrów przed komorami Niemcy ze śmiechem zawrócili kolumnę. Więźniowie milczeli nadal. Poprowadzono ich do baraku, w którym mieli czekać na pociąg. W tym baraku rzucili się na prycze, zasłaniali twarze ramionami i płakali. Cały barak był wypełniony tłumionym płaczem kilkuset mężczyzn ocalonych od komory gazowej. - Od tamtej pory - zakończył opowieść kompozytor - już rozumiem, dlaczego Żydzi dali się poprowadzić na śmierć.

Czy można mieć pretensję do Hanny Arendt, że nigdy nie płakała z zasłoniętą twarzą na pryczy?

Czy można zrozumieć modlitwę Izoldy R., nie idąc nigdy podwórzem Pawiaka?

Czy zapisawszy tę jej modlitwę, można komukolwiek ułatwić rozumienie?

21

Tak myślałam, kiedy Izolda R., skończywszy szkicować podwórze, podniosła się z fotela z nieodmiennym pytaniem: - Co będziemy jadły na kolację, pani Haniu?

5. ''

Właściwa opowieść o Izoldzie R. - ta która powinna stać się tematem wiadomego buchu - zaczyna się od aresztowania jej męża. Wpadł, pracując dla niejakiego Lamparta, który przerzucał ludzi na Węgry. Mąż Izoldy R. dostarczał uciekinierów do Krakowa, stamtąd pośrednicy wieźli ich w góry. Któregoś dnia w Krakowie była wpadka i mąż Izoldy R. dostał się do więzienia na Montelupich. Dowiedziawszy się o wszystkim, Izolda R. udała się przede wszystkim do Tereni, siostry pani Zofii Rome-rowej. Terenia stawiała karty. Usłyszawszy nowinę, bez słowa sięgnęła po talię, rozłożyła karty i zawołała: - No proszę, król kierowy już na wylocie. (Uznała, że mąż Izoldy jest królem kier, bo zakochany, żonaty i blondyn).

Ten rychły wyjazd wychodził później często, bo najpierw wysłali go z Montelupich do Oświęcimia, potem z Oświęcimia do Mauthausen, wreszcie z Mauthausen do Ebensee. Często wychodziły też dziewiątki pik i trefl, a nie są to najlepsze karty -przyznawała Terenia - choć i nie tragedia. Najgorsze były trzy piki koło siebie: król, walet i dziewiątka. - Oho, to groźna postać - wzdychała Terenia - powinnaś go przestrzec... (- Cygan - domyślił się od razu mąż, kiedy w sześć tygodni po wojnie, w lesie, w Ebensee, Izolda R. powtórzyła mu te wróżby. - Nikt inny. Najwredniejszy kapo w całym obozie). Terenia stawiała jej karty dzień w dzień. - No, są kłopoty, ale jest z drogi radosna nowina... I rzeczywiście, była nowina, list. Z Oświęcimia wprawdzie, ale z numerem, na który można było, jako Polakowi, posyłać paczki.

Posłała mu kilogram cukru, kilogram smalcu, bochenek chleba, boczek, cebulę i sól. Kosztowało to sto dwadzieścia złotych. Zezwalano na paczkę raz w miesiącu i żeby miała umrzeć, żeby

22

miała sprzedać siebie samą - musiała zdobyć sto dwadzieścia złotych miesiąc w miesiąc.

Oboje z mężem jadali obiady "Pod bukietem". Była to restauracja elegancka niegdyś, a od wojny ulubiony lokal szmuglerów i handlarzy. Dla mniej wytwornych gości bywały dwa dania: kopytka z kapustą i kopytka z buraczkami. Ona zwykle

brała kapustę, mąż buraczki, a kelner, który ich lubił, nakładał mężowi podwójną porcję kopytek za te same pieniądze.

Weszła do restauracji o zwykłej, obiadowej porze. Kelner postawił przed nią kopytka z kapustą i spytał:

- Mężowi już podać, czy zaczekamy?

- Mój mąż jest w Oświęcimiu - powiedziała Izolda R. - I wie pan co? - dodała. -

I ja go stamtąd muszę wyciągnąć. Ja teraz muszę mieć bardzo dużo pieniędzy.

Rozumie mnie pan?

Kelner skinął głową.

Był to stary kelner, z wyraźnym platfusem, przez co stawał stopy do środka, jak to robią kelnerzy na całym świecie po wielu latach pracy. Szczerze ich lubił i mężowi te podwójne kopytka polewał czasami za darmo gęstym, mięsnym sosem.

- Czy pan mi pomoże? - spytała.

Po kilku dniach, podając jej kopytka, kelner powiedział:

- Tam czeka. O, tam.

Zjadła, wstała i podeszła do drzwi, za którymi mieścił się chambre separee lokalu "Pod bukietem". Za drzwiami, na wytartej kozetce siedział mężczyzna. Był łyśy, gruby, nogi miał szeroko rozstawione, bo podtrzymywały opadający brzuch i nie dopinał mu się guzik od kamizelki. Poza tym uśmiechał się bardzo miło, bo był to całkiem sympatyczny, jowialny, starszy pan, czekający na kobietę. Usiadła obok. Pan przesunął ręką po jej nodze i uniósł spódnicę. W pończosze, na udzie, było opuszczone oczko. Udała zdziwienie, choć wiedziała o oczku od tygodnia, na co pan pogłaskał ją po tym oczku i powiedział:

- Nie martw się, kupimy ci nowe pończoszki.

Izolda R. położyła rękę na ręce starszego pana i zapytała:

- Czy ja się panu podobam? Rozczulił się: - O, bardzo.

23

- To proszę mi nic nie kupować... Ja zrobię wszystko, czego pan sobie życzy. I tak jak pan sobie życzy, i ile razy pan sobie życzy. I jak długo pan sobie życzy. Ale muszę mieć bardzo dużo pieniędzy, ponieważ mój mąż jest w Oświęcimiu i ja go chcę stamtąd wyciągnąć. Czy pan się zgadza na taką transakcję?

Patrzyli na siebie - ona z odsłoniętym udem i miły, starszy pan z różową łysiną, w szarym fil afil. Panu już nie było ani do jej oczek, ani do jej ud. Powtórzył ze smutkiem:

- W Oświęcimiu... Aha!...

Wtedy uśmiechnęła się do niego, wstała i mijając kelnera szepnęła:

- Niestety, panie Romanie, to nie jest to, o co mi chodziło... Szukała gorączkowo pieniędzy i protekcji. Ufała ludziom, którzy ją potem okradali, skwapliwie czepiała się każdego, kto budził nadzieję. Jeździła, handlowała, złapali ją, była na robotach w Niemczech, uciekła, znowu szukała - samotna i na zewnątrz całej reszty świata, który nie był jej, ponieważ był lepszy. Wiedziała, że i Polacy cierpią, ale było to cierpienie lepsze i godne zazdrości. Jej cierpienie było gorsze, bo ona była gorsza. Cały świat uważał ją za gorszą, a niemożliwe przecież, by cały świat mylił się w swoim poczuciu dobra i zła, a właściwie w poczuciu lepszości i gorszości. Świat musiał mieć rację. Była gorsza i dlatego przebrana. Zmieniła nazwisko, kolor włosów i sposób stawiania torby i dopiero w tym przebraniu świat zaakceptował ją. Skoro zatem woli ją przebraną od prawdziwej, znaczy to, że osoba, za którą się przebrała, jest od prawdziwej lepsza.

Z Oświęcimia męża Izoldy R. przeniesiono do Mauthausen. Mauthausen znajduje się w Austrii, Izolda R. postanowiła więc jechać do Wiednia. Zaczęła rozpytywać znajomych. Ktoś znał jakiś adres, ktoś powiedział: - Znam człowieka w Organizaq'i Todta. To już był trop właściwy, bo organizacja prowadziła roboty budowlane dla niemieckiego wojska i wydawała - cenne i bezpieczne - skierowania do pracy.

Izolda R. odebrała skierowanie do Dalmacji, w rewanżu proszono ją o przekazanie w Wiedniu paczuszki z tytoniem. Odda-

24

ła tytoń i zrozumiała, że do żadnej bezpiecznej Dalmacji nie powinna jechać. Powinna wrócić do Warszawy i przywieźć do Wiednia znacznie więcej tytoniu. Za sprzedany tytoń powinna kupić jedwab włoski. Za jedwab sprzedany w Warszawie będzie miała pieniądze na wyciągnięcie męża z Mauthausen i może jeszcze jej wystarczy na mieszkanie matki, teścia, szwagierki, na samą siebie... Jeździła tak kilka razy - cztery czy pięć. Przewoziła po dwadzieścia pięć kilo tytoniu w postaci liści ułożonych w walizce; wracała z jedwabiem - w tej samej czarnej, lakierowanej walizce, pod nocną koszulą. (To była właśnie walizka, o której opowiadała pisarzowi i obok której przystojny esesman powinien postawić swoją żółtą). Któregoś dnia umówiła się z człowiekiem z Organizacji Todta w Wiedniu, w "Priickel-Cafe", ale zamiast znajomego przyszli dwaj obcy mężczyźni, ujęli ją pod ręce z obu stron i zaprowadzili na gestapo.

Izoldę R. oskarżono, że pracuje dla AK i że jej przyjazdy do Wiednia mają związek z generałem Andersem we Włoszech.

Było to oskarżenie absurdalne, ponieważ praca dla podziemia była ostatnią rzeczą, jaka mogła Izoldzie R. przyjść do głowy. Polskie podziemie nie było jej sprawą. Jej sprawą był mąż, a konspiracja mogła w staraniach o męża tylko zaszkodzić. Gdyby AK chciała pomóc jej mężowi, może by i coś zrobiła dla nich, ale skoro on nie obchodził ich, to co ją mogły obchodzić jakieś łączniczki, jakiś generał Anders, jakieś AK.

Najpierw bili ją, zwyczajnie, po twarzy, i pytali o Andersa i AK. Potem bili tak, że po każdym ciosie uderzała w ścianę tyłem głowy. Potem wieszali ją na haku - była zaczepiona o hak wykręconymi do tyłu rękami, na które uprzednio nakładali kajdanki...

Z wiedeńskiego gestapo wywieziono ją do Oświęcimia. Była na kwarantannie. Po trzech miesiącach - dłużej nie mogła być, bo w Mauthausen czekał mąż - podeszła na rampie do doktora Mengele. Powiedziała, że jest pielęgniarką i poprosiła o włączenie do odjeżdżającego transportu. (Był to okres likwidowania obozu, o którym opowiadał kompozytor, śpiewający "Warszawiankę"; ludzi wysyłano przeładowanymi wagonami, ale

25

w każdym pociągu jechała pielęgniarka, porządek musiał być). Doktor Mengele - przystojny, uprzejmy - przeprowadzał na rampie krótki egzamin.

- Jak odróżni pani krwotok żylny od tętniczego? - zapytał. To wiedziała, uczyła się przecież pielęgniarstwa w getcie, na oddziale tyfusu.

- Ile razy na minutę oddycha człowiek? - pytał dalej doktor Mengele. Tego nie wiedziała i przestraszyła się.

- Ile razy na minutę uderza serce? - pytał, jak wyrozumiały profesor, który nie lubi oblewać na egzaminie.

- To zależy - powiedziała - czy człowiek boi się i jak bardzo.

Doktor Mengele roześmiał się, zauważyła wtedy, że ma szparę między przednimi zębami. Diastema - przypomniała jej się informacja z kursów pielęgniarzkich. Taka szparka nazywa się diastema...

Skierowano ją do transportu i wyjechała z Oświęcimia do Guben. Uciekła (w Mauthausen czekał przecież mąż). Dostała się do innego obozu. Wyczytano ją na wyjazd do Oświęcimia, ale nie dojechała: tego akurat dnia Oświęcim został wyzwolony. Pognano ich na zachód. Po drodze uciekła (w Mauthausen... i tak dalej). Dostała się do Wiednia i pracowała w niemieckim szpitalu wojskowym jako pielęgniarka. W kwietniu przyszli do : szpitala Rosjanie.

- Nu, siostra, katoryj SS? - spytał ją oficer. Wiedziała katoryj SS, bo zmieniała codziennie opatrunki, ale powiedziała - Nie znaju.

- Możesz się teraz zemścić - tłumaczył oficer, kiedy wyjaśniła, że jest Polką i pokazała rękę z oświęcimskim numerem. -Kto w SS?

- Nie wiem - powtórzyła z uporem, który ją samą zaskoczył. - Ja ci powiem, kto nie ma oczu, kto nie ma rąk, ale kto w SS, nie mam pojęcia.

Żołnierze wyszli, ona zdjęta czepek, opuściła rękaw i wybiegła ze szpitala. Druga wojna światowa skończyła się.

26

Męża znalazła w barakach Ebensee - w górach, powyżej Mauthausen.

- Sześć tygodni po wojnie, a ciebie nie ma... - powiedział z wyrzutem, choć była pierwszą żoną, która przyjechała do obozu. Potem nachylił się do jej ucha:

- Nikt tutaj nie wie, że jestem... Że jesteśmy...

Skinęła głową: - O mnie też. I tak już zostanie. Już zawsze będziemy Polakami... Wyszli z baraku.

Opowiedziała jak ginęli. - Nikogo nie ma - powiedziała i zaczęła wyliczać: jej rodzice, jego rodzice, jego cztery siostry, jego siostrzeniec, szwagier...

Wymieniając zaginała palce najpierw u jednej, potem u drugiej ręki, potem palce się skończyły, wtedy wyprostowała dwa palce, wskazujący i środkowy: - My

jesteśmy, ty i ja. Wiedziała, że przeżyjesz. Ratowałam cię... (Po raz pierwszy powiedziała wtedy "Ratowałam cię". Powtarzała to coraz częściej: jeśli przeżył

dwadzieścia dwa miesiące obozu, takiego jak Mauthausen, jeśli z pięciuset mężczyzn budujących obóz w Ebensee przeżyło szesnastu i jeśli on wśród tych szesnastu się znalazł, to dzięki niej, to siła jej miłości utrzymała go przy życiu. - Nosiałam go w sobie jak ciężarna kobieta nosi w brzuchu dziecko - mówiła pani Romerowej, a pani Romero-wa powiedziała: - Nie mów mu tego. Nigdy więcej mu nie mów, że przeżył dzięki tobie...).

Wrócili do Polski. Zachowali aryjskie papiery. Mąż założył prywatną tkalnię, ona poszła do szkoły pielęgniarek. Ochrzcili obie córki i przykładowie chodzili z nimi do kościoła. Pewnego dnia mąż otrzymał wezwanie na policję. Na stole

oficera leżało kilka pożółkłych kartek. Nie były to dokumenty związane z tkaniem. Jedna kartka okazała się oryginalnym, przedwojennym świadectwem ślubu

jego rodziców, inna - zeznaniem podatkowym jej ojca. Mąż dotykał kartek ostrożnie, jakby się bał, że mu się rozsypią w rękach, ale oficer go uspokoił:

- To stary, dobry papier, niejedno wytrzyma... No i co - dodał z westchnieniem -

kiedy wracamy do prawdziwych nazwisk? Czas najwyższy, panie Pawlicki...

Wkrótce po tej rozmowie wypełnili stosowne formularze i złożyli w biurze paszportowym. Urzędnik spytał o narodowość.

27

Polska - powiedziała. A rodziców? Polska.

że para wron

n

"narodowość żydowska" \ P ° ?'edm'u d"«h. Napisali

wielkości świadLw" szkohS,

*y". Pod napisem "i

go dok p nfe je

Zamieszkali w Wiedniu

opuszczała żadne

wet wody, pojechała na

domiła, że oboje z

s- pojechała do

wiec w Wiedniu: bez c

^ był ich. z o

tość. Była po dawnemu trosfwa ^

V''

skwapliwych poświęcen A naw?t • ' ' ^^ ' Sotowa ^

^ł jej jeden obiekt uczuć mż ^^ tr°skliwsza- bo pozoz-

zawiaadamił, że odchodzi oTnTej na zlszl

o

- za-

Powróćcie zawiadź Izabela. Star-

' Mieszkali

o d ^ > mezmienna ~ Jej mi-

ziła' Ze to wielka

/g mąż p

dzwoni rzadko. Przesta a

^ czy inni ją za Polkę

nie zastanawiać się

szczęśliwa- nie

28

Mąż ma niewydolność nerki. Miewa depresje. Miał już zawał i musi mieć operowaną prostatę. Przyjdzie czas, że będzie miał dializowane nerki, choroba wieńcowa zaostrzy się, depresje będą się powtarzały... Wtedy wróci do niej, a ona na szczęście jest pielęgniarką. I na nerkach się zna, i na sercu, i właśnie zaczęła się uczyć dializy... Jej mąż będzie miał opiekę na najwyższym fachowym poziomie.

6.

Napisałam książkę. Dokładnie taką, jaka powinna być.

Wysłałam maszynopis.

Zapanowała cisza.

Telefon zadzwonił wreszcie i usłyszałam niepewny głos:

- Dziwna rzecz, pani Haniu. Czytam i czytam, przeczytałam już cztery razy... No nie wiem, pani Haniu. No, porozmawiamy.

Porozmawialiśmy w Wiedniu. Najpierw w "Priickel-Cafe", później w mieszkaniu jej męża.

"Priickel-Cafe" to była ta kawiarnia, z której zabrało ją gestapo. Pokazała mi stolik, przy którym czekała na człowieka z Organizacji Todta: pod lustrem, na wprost drzwi, koło donicy z palmą. Lustro wisiało nadal, stolik stał, rosła palma... Powiedziała:

- Siedziałam twarzą do wejścia i to był błąd. Należało usiąść tyłem.

- Zobaczyliby panią w lustrze. Zyskałaby pani parę minut, najwyżej.

- To prawda.

Siedzieliśmy niedaleko owego stołu, przy oknie i jadłyśmy strudel z jabłkami i bitą śmietaną. Ciasto było gorące, śmietana zimna, jadłyśmy rewelacyjny strudel, a moja bohaterka tłumaczyła, którądy prowadziło ją gestapo.

- Skręciliśmy w lewo, o, tędy - pokazała przez okno. - Szliśmy w stronę kanału i znowu w lewo, później pani pokaże.

29

(Później pokazała mi pomnik i tablicę: tutaj mieściło się gestapo, tutaj byli męczenni i ginęli...).

- Strasznie mała ta powieść, pani Haniu - powiedziała nagle.

- Miał być gruby buch, a wyszła książeczka.

- Taka powinna być - wyjaśniłam. - Książka o Marku Edel-manie była jeszcze krótsza. O sześćdziesiąt stron, o jedną trzecią. A była to książka o powstańcach getta...

- To było wszystko takie okropne - podjęła, jakby nie słysząc, co mówię - ta moja rozpacz, moje serce, moje łzy, a u pani? Parę zdań - i to już wszystko?

- Im większa rozpacz, tym mniej trzeba zdań, pani Izoldo.

(Me powiedziałam "pani Izoldo", bo w rzeczywistości nazywa się inaczej... Nie, w rzeczywistości nazywa się Izolda, ale używa "aryjskiego", banalnego imienia. Jak można, będąc Izol-dą, zrezygnować z niej na rzecz czegoś tak zwyczajnego?).

- Ja pani tyle opowiadałam... Myślałam, że to pani wykorzyststa - mówiła coraz pewniej, z coraz wyraźniejszą nutą pretensji.

Ogarniała mnie złość. Moja bohaterka zaczynała się zachowywać jak klientka, która dała krawcowej materiał, spodziewała się kreacji z zakładkami, szczypankami, bufami i falbaną, a otrzymuje suknię prostą i skromną.

- Im wspanialszy materiał, tym fason powinien być prostszy

- powtórzyłam poprzednią myśl innymi słowami. - Pani jest bardzo kochana, pani Izoldo - dodałam - ale ma pani zły smak. Może nie zły... - poprawiłam się - tylko anachroniczny. Czy tradycyjny raczej...

Nazajutrz przyszedłam do mieszkania jej męża, w którym zatrzymała się na parę dni. Mąż był w pracy.

Rozejrzałam się. Na wszystkich ścianach wisiały powiększone fotografie. Jedne były czarno-białe, inne kolorowe, ale przerobione z czarno-białych zdjęć. Na fotografiach były kobiety -niektóre ciemne, niektóre jasne, wszystkie pogodne, uśmiechnięte i młode.

- Siostry męża - wyjaśniła Izolda R. - To jest Tusia, to Hela... Naprawdę nazywały się - Estera, Chaja, Nechama i Sara, ale

30

w domu nazywano je polskimi imionami: Tusia, Hela, Halina i Zosia...

Znałam je wszystkie z opowieści Izoldy R. i z mojej-niemojej książki.

Zosia. Najmłodsza z sióstr, wyszła za mąż we Lwowie, zginęła pierwsza.

Tusia i Hela. (Heli pomalowano na różowo letnią sukienkę i toczek na włosach; włosy miała złote, opalony dekolt i wcięta talię, ale na fotografii tego nie widać). Obie popełniły samobójstwo po śmierci męża Heli. Najpierw otruły dziecko, potem otruły się same. Izolda widziała je ostatni raz, kiedy zabierała z Chełmna swoją matkę. Hela powtarzała: - Ratuj ich. Ratuj moją mamę, mojego ojca, moją siostrę... O brata nie prosiła, wiedziała, że Izolda będzie go i tak ratowała. Izolda R. miała żal do niej. Taka była jasna, taka ładna, tak niepodobna do Żydówki i nawet nie próbowała się ratować, a ona, z farbowanymi włosami, z oczami, które policjant nawet w jadącej rikszy rozpoznawał bez trudu - ona miała obowiązek żyć i ratować wszystkich.

Szymuś, synek Tusi. Miał sześć lat. Podały mu truciznę. Powiedziały - - - Co się mówi w takich wypadkach? "Bądź grzeczny, połknij"? Właściciele kryjówki znaleźli całą trójkę po paru dniach. Mieli kłopot z pogrzebem.

Halina. Była ciemna i brzydsza od sióstr, miała nieładne nogi, ale na zdjęciu trzyma je z wdziękiem (myślę, że Izolda R. trochę z tymi nogami przesadziła; wcale nie były takie niezgrabne). Tleniła włosy na fatalny, żółty kolor. Poznała jakiegoś pana. Mówiła o nim: "Rozumiemy się bez słów...". Izoldę R. bardzo to niepokoiło. Kto mógł zainteresować się Haliną? Z jej nogami? Z jej włosami na żółto? - Uważaj na siebie - mówiła. Kiedy wróciła z Wiednia za drugim razem powiedziano jej, że jakiś pan przyszedł po Halinę i ojca, zabrał ich i zginęli bez śladu.

Ojciec. Za pierwszym razem udało mu się uciec: kiedy właścicielka mieszkania wyrzuciła ich na ulicę. Wyrzuciła w biały dzień - dwoje starych ludzi, którzy przez ostatni rok nie podnosili się z podłogi, a do ubikacji chodzili pod parapetem na

31

czworakach, i Halinę - z jej czarnymi, smutnymi oczami, z jej włosami na żółto. Matkę złapali i zawieźli na Pawiak, ojciec i Halina uciekli. Za drugim razem nie udało im się uciec: kiedy przyszedł znajomy pan, z którym Halina rozumiała się bez słów.

Ojciec ma na portrecie gładką, ogoloną twarz. W rzeczywistości nosił brodę, ale po wojnie, gdy wszystko przerabiali na polskość - nawet imiona rodziców i stare fotografie - dali zdjęcie ojca zaufanej fotografce. Zrobiła negatyw, zlikwidowała brodę i ojciec ukazał się z dziwną, obcą twarzą, jakiej nie znali. Z twarzą bez brody. Miał już z nią pozostać na zawsze.

Siedziałyśmy z Izolda R., jak kiedyś, jak w jej salonie, w Izraelu, tylko już bez kurtyny. Może sprawiły to twarze, które patrzyły ze wszystkich ścian i były z nami.

Siedziałyśmy więc i Izolda R. czytała z notatek swoje uwagi. Dodać scenę z kopytkami. Chodziło o kopytka, które nakładała jej na talerz chłopka pod Łodzią, gdy uciekała z robót w Niemczech. Gospodyni przyjęła ją gościnnie, a nakładając kopytka tłumaczyła, skąd się bierze całe zło: przez Żydów. Dodać scenę w restauracji (mniejsza o szczegóły). W ogóle: dodać, dodać, dodać.

- To było, pani Izoldo - mówiłam. - Opisałam to w pierwszej wersji, ale musiałam skreślić, bo robiły się dłużyzny.

- Dłużyzny?! - wołała Izolda R. - Pani Haniu! Jakie dłużyzny! Ta scena z kopytkami oddaje przecież problem!

Dalej: skreślić niektóre słowa, na przykład: "pokorna", "potulna", "przymilna", "oddana"...

To było o niej. Tymi słowami charakteryzowałam bohaterkę, która była dzielna i wspaniała wobec całego świata, ale przy swoim mężu stawała się cicha i pełna pokory.

- Mowy nie ma, pani Haniu. Pokorna? Ja?!

- Ależ tak - opowiadała mi później przyjaciółka Izoldy. - Była nieprawdopodobnie odważna, odważniejsza od wszystkich naszych dziewczyn z AK. My mieliśmy organizację, kontakty, kolegów, ona nie miała nikogo i jej bohaterstwo było nieporównanie większe. Ale kiedy słyszała w zamku klucz, który ON

32

przekręcał - cichła, malała, spłaszczała się, robiła się nieśmiała i zalękniona. Bardzo byłam dumna, że trafnie odgadłam Izoldę R. Nie opowiadała mi o pokorze, ale domyśliłam się pisząc. Pisanie jest procesem poznawczym...

Usłyszałyśmy klucz w zamku.

Wszedł mąż. Był wysoki, przystojny. Miło przywitał się. Miał piękne, smukłe ręce.

- Głodny jesteś? - spytała Izolda R. i pospiesznie podniosła się z fotela.

Po powrocie do Warszawy dałam maszynopis redaktorze wydawnictwa. Nie do druku - nie mam do książki praw; przez ciekawość - żeby usłyszeć kompetentną opinię. Jednocześnie wprowadzałam zmiany, o które prosiła Izolda R.

- Pisze pani? - spytała, z Izraela tym razem.

- Piszę.

- Dodaje pani?

- Dodaję. Ale zaraz skracam, bo to dodane okazuje się zbyteczne.

W słuchawce zapanowała cisza. Taka cisza jest kosztowna, Izolda R. musi ciężko pracować na nią, zabawiając głosem brzu-chomówcy swoją podopieczną, która nie słyszy wysokich dźwięków.

Cisza przedłużała się.

- Co z mężem - spytałam.

-Nic.

- Dzwoni?

-Nie.

- Co z córką?

-Nic. ;

- Dzwoni?

-Nie. Cisza.

- To co w ogóle?

- W ogóle nic, pani Haniu. Znowu zrobiło mi się jej żal.

- Ja jeszcze spróbuję coś dopisać, pani Izoldo
 - Spróbuj pani? - w głosie Izoldy R. usłyszałam nutę, z jaką zwracała s mojej książce do swojego męża. - Bardzo pania proszę, mech pani spróbuj. F *
 Zadzwońska redaktorka. Powiedziała, że chcieliby wydać WV~ gmę W0]nę Izoldy R., że to jedna z ciekawszych książek o Zagła-
 - Mam tylko jedną uwagę - dodała. - Kompozycyjna Czy

Hipnoza

... był chłopiec,
 pochodził z ziemi Polin. Wskutek "zamieszek ludowych" znalazł się w Pradze. Miał krewnych, którzy pozostali na ziemi Polin i chyba byli pokrzywdzeni w owych zamieszkach. W związku z krzywdą czy też z chłopcem - nie wiadomo dokładnie - krewni zwrócili się do rabina. Odpowiedź rabina udzielona nie wiadomo w jakiej sprawie, rodzinie - nie wiadomo skąd pochodzącej (z Prmt, napisano po hebrajsku, może to Przemyśl, może Przemęt), ów respons rabinacki z roku 1029 jest najstarszym świadectwem obecności Żydów na ziemiach polskich. To ważne, co oznacza Prmt. Jeśli Przemyśl, więc Grody Czerwieńskie, potwierdzałyby pogląd, że Żydzi szli do Polski z Bizancjum. Jeśli Przemęt, więc Wielkopolskę, to Żydzi szli z Pragi Czeskiej, a do Pragi z Ratysbony, a do Ratysbony z Niemiec Południowych, a do Niemiec Południowych z Północnych Włoch... i tak dalej. To ważne skąd szli. Skoro utworzyli na ziemi Polin największe, najbardziej znaczące skupisko w całej żydowskiej diasporze, pytanie skąd wzięli się tutaj, jest pytaniem zasadnym . Henryk Samsonowicz, Początki gmin żydowskich na ziemiach polskich w średniowieczu. Referat wygłoszony na Międzynarodowej Konferencji "Historia i kultura Żydów polskich", Jerozolima 1988.

34

35

Muzeum Diaspory w Tel Awiwie. Żydzi w Mezopotamii, Żydzi w Persji, Żydzi w Cesarstwie Otomańskim, Żydzi w Toledo, Aleksandrii, Weneq'i, Amsterdamie... Żydzi o dostojnych twarzach, w bogatych strojach, wśród kunsztownych naczyń liturgicznych ze srebra i złota, w wielkim, dostatnim świecie. I polscy Żydzi: w czarnych chałatach, ze smutnymi oczami, w świecie małym i biednym. Głos w słuchawce informuje w wybranym europejskim języku, że trudnili się rzemiosłem i handlem, uczyli się w szkołach, zwanych jesziwami, modlili się - jeśli byli chasydami - w domach modlitwy zwanych sztibł, a podczas drugiej wojny światowej tysiąc dziewięćset trzydzieści dziewięć tysięcy czterdzieści pięć... i tak dalej.

Profesor Matatiahu Minc, historyk na uniwersytecie telawiw-skim, był niedawno w Krakowie, na Kazimierzu. W piątkowy wieczór chodził po cichych i pustych ulicach. Pewnie wszyscy są jeszcze w domach, przy szabasowej koliaq'i, myślał sobie. Zaraz wstaną od stołu i wyjdą na spacer. Chodził i chodził, już się zaczęło rozwidniać, już mleczarze zaczynali roznosić butelki, ale żaden Żyd nie wyszedł z żadnego domu.

Piątkowy wieczór w Mea Szearim, jerozolimskiej dzielnicy chasydów. Cisza - ale nie ta podczas kolacji. Wcześniejsza cisza, kiedy koliaq'a już przygotowana, na stole palą się świece, czu-lent w wielkim żeliwnym rondlu dawno odniesiono do piekarni Fajnzylbera, a cała rodzina modli się w bóżnicy.

(Nie, Fajnzylber nie przyjmował czulentu, czulent nosiło się na Rybną albo na Grodzką. I w żadnym Mea Szearim, tylko w Lublinie. I jeszcze nosiło się łokszn kugel - makaron z jajkami, rodzynkami, miodem i cynamonem, koniecznie w glinianym naczyniu. I w żadnym Mea Szearim...).

Profesor M. pokazuje jerozolimskie zaułki i podwórka, zbudowane na wzór TAMTYCH miast: parterowe domy, ciasne sklepiki, żydowskie szylidy, sztibl z jednym oknem, przez które widać oświetlony pokój z długimi stołami. Na stole leży księga, na krześle kiwa się, półdrzemiac, brodaty starzec, dwaj mło-

36

dzieńcy gestykulują, jakby się sprzeczali o coś - o werset Tal-mudu się sprzeczają? o Majmonidesa?

Profesor M. prosi, żeby się nie rozrzewniać. Z nimi są nieustające kłopoty. Oni są reakcyjni, oni są zacofani. Oni mają odroczenie od służby wojskowej na czas studiów, ale oni studiują Talmud przez całe życie, więc w ogóle nie służą w wojsku. Dopóki ich było pięciuset, to nic, ale piętnaście tysięcy - to już jest dywizja! Oni chcą mieć dla siebie całą Jerozolimę, bo do niej to przybędzie Mesjasz. My wszyscy do niej przybędziemy, kiedy wstaniemy z grobów w Dniu Sądu, ale oni już teraz wykupują Jerozolimę po kawałku i chcą być chowani na Górze Oliwnej, żeby nie wędrować później do Mesjasza przez świat. Żeby od razu być na miejscu i najbliżej.

Oni piszą dziwne rzeczy.

Ich przywódca duchowy, rabbi Yoel Taitlbaum, pisał, że Holocaust był sprawiedliwą karą za lekceważenie wyroków Boga. Boskim wyrokiem Żydzi zostali pozbawieni ojczyzny i rozproszeni po świecie. Tylko Bóg jest w prawie swoją decyzję odmienić. Ludzie, którzy budują żydowskie państwo podnoszą na Niego rękę. Kara jest nieuchronna. Z katastrofy ocaleją nieliczni tym razem i tylko oni będą świadkami zbawienia .

Kończy się modlitwa w Mea Szearim. Z synagogi wylewa się tłum na cichą, pustą przed chwilą, ulicę. Mężczyźni w czarnych surdutach, białych pończochach i futrzanych biretach, mali chłopcy z plecionymi w warkoczyki pejsami, kobiety w długich sukniach i chustkach tak ciasno owiniętych dookoła głowy, że nie wymyka się spod nich pasemko włosów... Rozgadany, wesoły tłum wypełnia chodniki i całą szerokość jezdni i śpieszy na kolację szabasową do domu.

(A przykrywka na rondlu z czulentem powinna być owinięta papierem i owiązana sznurkiem. Papier się nie zapali, najwyżej zżółknie od gorąca. A jeśli przykrywka jest nieszczelna, trzeba

Amos Funkenstein, Theological Interpretations of the Holocaust. "The Tel Aviv Review", Vol. 1, 1988.

37

oblepić ją najpierw ciastem dookoła, z mąki i wody. I w żadnym Mea Szearim...).

Burza nad Jerozolimą jest żółta. Nie burza właściwie, tylko chwila, kiedy zrywa się wiatr, a niebo gwałtownie ciemnieje i powinno stać się granatowoszare.

Jerozolimskie niebo, powietrze i wiatr stają się żółte. Podobno wiatr niesie wtedy piasek pustyni, ale nie jest to kolor suchego piasku z wydm nad Bałtykiem ani mokrego piasku ze studni nad Narwią. Malarze nazywają takie barwy ochrami i ugrami: żółcie, zabarwione złotem? ogniem? siarką?

Niespokojny, groźny świat, w którym bywają żółte burze... Wszystkie odcienie żółci rozpoznaje się później na Pustyni Judzkiej i w skałach Masady.

Masada, twierdza górską w pobliżu Morza Martwego, w której zeloci stawiali przez siedem lat opór Rzymianom, jest dla Żydów symbolem honoru i męstwa. W siedemdziesiątym trzecim roku (trzy lata po upadku Jerozolimy), unikając hańby niewoli, powstańcy wybrali zbiorową, samobójczą śmierć.

Obecnie co roku młodzi żołnierze armii izraelskiej składają wśród murów twierdzy przysięgę: na wierność obrońcom Masady.

Rzymianie zdobyli twierdzę od zachodu - droga do szczytu była kilkakrotnie krótsza stąd, niż od strony morza. Usypano rozległe wzgórze, wysokie na trzysta stóp, umocniono je platformą z głazów, na nią wtczono balisty, miotające kamienie, wycelowane w twierdzę.

Wzgórze to usypali Żydzi: jeńcy wzięci do niewoli w Jerozolimie po upadku Świątyni.

Obrońcy Masady patrzyli na nich zza murów. (Czy mówili coś? Czy mówili: "Nie, nie, oni nie zrobią tego. Żyd nie stanie przeciw Żydowi..."). A jeńcy żydowscy nosili ziemię dalej, cierpliwie, workami, dzień po dniu, aż wysokość wzgórza była wystarczająca, by ustawić wyrzutnie.

Mury twierdzy przetrwały do dzisiaj, i jej łaźnie rytualne, i synagoga, i magazyny na żywność. Przetrwało także zachodnie wzgórze.

Oskarżyciel na procesie Eichmanna chciał wiedzieć, dlaczego nie buntowali się: ani Żydzi idący do gazu, ani Żydzi, którzy palili w piecach ich ciała. Hanna Arendt chciała wiedzieć, dlaczego judenraty współdziałały z Niemcami w unicestwianiu Żydów.

Niemiecki lekarz wojskowy, którego wspomnienie przytacza Hanna Arendt, tłumaczy, dlaczego nie protestował, choć znał prawdę o eksterminacji. Wiedział, że sam zniknąłby bez śladu i że byłaby to anonimowa śmierć. Gdyby zapewniono mu wspianą śmierć, męczeńską, może by się zdecydował na protest, ale śmierć anonimowa byłaby ofiarą daremną.

Hanna Arendt powiada, że nie istnieją strefy zapomnienia. Przynajmniej jeden człowiek zawsze utrzyma się przy życiu i zda relacje .

O samobójczej śmierci dziewięciuset bohaterów opowiedziały dwie kobiety, które przeżyły - żony czy matki. I o buncie niewolników ktoś by opowiedział, ale niewolnicy nie zbuntowali się.

Do buntu niezbędne jest zachowanie minimum człowieczeństwa. Widocznie niewolnikom spod Masady tego niezbędnego minimum nie pozostawiono. Jak nie pozostawiono go ludziom idącym do komory gazowej.

Porównywanie zdarzeń, które dzieli tysiąc osiemset siedemdziesiąt lat, nie jest stosowne, ale to przecież współcześni izraelscy żołnierze przysięgają powstańcom Masady. "Masada nie upadnie już nigdy" - mówią. Mogliby dodać jedno zdanie jeszcze, mniej dumne: "Nigdy więcej nie będziemy sypali wzgórza".

Uri Orlew mieszka w ekskluzywnej dzielnicy pisarzy i artystów. Zbudował ją sir Moses Montefiore, angielski milioner i filantrop w połowie ubiegłego wieku i są to pierwsze domy jero-

Hanna Arendt, Eichmann w Jerozolimie. Kraków 1987.

38

39

zolimskie zbudowane poza murami starego miasta. Mimo że wśród murów było ciasno, ludzie bali się z początku mieszkać w domach sir Montefiore - na pustkowiu, po którym grasowały bandy rabusiów. Przebywali tutaj w dzień, w nocy wracali za mury. Ale sir Montefiore bardzo pragnął rozbudować Jerozolimę, postawił więc jeszcze warsztaty tkackie, żeby ludzie mieli gdzie pracować i młyn, by mieli co jeść, i jeszcze płacił im za to, by mieszkali w jego osiedlu całą dobę.

Uri Orlew mówi, że w zeszłym roku Amerykanie dawali mu za dom czterysta tysięcy dolarów, a w końcu jest to skromny dom, tyle że z widokiem na Górę Syjon, Wieczernik, Kościół Zaśnięcia Marii Panny i na pamiątkową linę.

Uri Orlew przyjechał do Palestyny, mając piętnaście lat, w sierpniu 1945 roku. W cztery miesiące po tym, jak Amerykanie przejęli pociąg, którym Niemcy go wieźli z Bergen-Belsen na rozwałkę.

Do Bergen-Belsen dostał się z kolei przez Hotel Polski. Miał już za sobą getto i stronę aryjską; i kiedy Niemcy zawiadomili, że Żydzi, posiadacze zagranicznych

paszportów, mogą zgłosić się do Hotelu na Długa, by stąd udać się za granicę, ciotka Uriego, Jurka podówczas, natychmiast posłała wujka Frenkla, by zdobył wszystko, co potrzeba.

Papiery kupowało się u żydowskich agentów gestapo - były jednak papiery dobre i złe. Dobre, to paszporty krajów Ameryki Południowej. Złe - promesy wiz do Palestyny. Wujek poszedł i przyniósł, co potrzeba: cztery komplety dokumentów. Dwa do Palestyny, za duże pieniądze, i dwa, za jeszcze większe pieniądze, do Hondurasu.

Na widok papierów ciotka wpadła w furję. - Ty idioto - krzyczała na wujka. - To ty nie wiesz, że ja obiecałam mojej siostrze, że nigdy nie rozstanę się z jej synami?! (Matka chłopców już nie żyła, a każdy, poza tym idiotą wujkiem wie, że przyrzeczeń, danych umarłym, należy dotrzymywać). Wujek poszedł więc jeszcze raz i wrócił z czterema złymi dokumentami, do Palestyny.

13 lipca 1943 roku transport Żydów, "obywateli zagranicznych", wyruszył do Bergen-Belsen. Było w nim trzy tysiące osób. "Palestyńczyków" - dwustu pięćdziesięciu, reszta - "Południowi Amerykanie".

21 października 1943 roku "Południowych Amerykanów" wywieziono do Oświęcimia. Zginęli wszyscy. Przeżyli wojnę jedynie ludzie z promesami palestyńskimi. Inna jeszcze relacja o dobrych i złych papierach z książki Ha-sidic Tales od the Holocaust. Wśród Żydów z zagranicznymi paszportami znajdowała się synowa i wnuc cadyka z Góry Kalwarii. Siódmego dnia Święta Szałasów zgromadzono więźniów na placu obozowym i przystąpiono do sporządzania list. Każdy podchodził do komendanta obozu i pokazywał papiery. Lista amerykańska była coraz dłuższa. Synowa cadyka miała oba dokumenty, dobre i złe. Gdy zbliżała się jej kolej, podjęła decyzję: połknęła cienki, biały arkusik promesy palestyńskiej i podała komendantowi amerykański paszport.

Z archiwów Muzeum Oświęcimskiego wiadomo, że transport z Bergen-Belsen znalazł się na rampie w Brzezince 24 października. Tuż przed wejściem do komory gazowej jedna z kobiet wyrwała esesmanowi Schillingerowi rewolwer i zastrzeliła go, innego esesmana, Emmericha, raniła. Pozostałe kobiety rzuciły się na eskortę z gołymi rękami. Esesmani wezwali pomoc. Część kobiet zabito na miejscu strzałami z krótkich karabinów i granatami, resztę dowleczono do komory gazowej. Wszystkie zwłoki spalono w krematoriach.

Nie znamy nazwiska kobiety, która strzelała. Czy może była nią synowa cadyka z Góry Kalwarii? A może nie strzelała, tylko modliła się? Czego oczekiwali od niej jej teść, Abraham Mor-dehaj Alter, strzałów czy modlitwy?

Przynajmniej jeden człowiek utrzyma się przy życiu i zda relacje...

Yaffa ma'ach, HASidic Ttfestfłhe Holocaust. New York 1985.

40

41

Żadna z tamtych kobiet nie ocalała, ale na szczęście utrzymał się przy życiu esesman Broad, z załogi oświęcimskiej, i zdał po wojnie relację.

Uri Orlew spędził w Bergen-Belsen blisko dwa lata. W kwietniu czterdziestego piątego roku załadowano ich wraz z paroma tysiącami Żydów węgierskich do wagonów. W drodze 9. armia amerykańska zdobyła pociąg. Kapitan amerykański zajął najbliższe miasteczko, którym było osiedle rodzin oficerskich, i rozkazał mieszkańcom opuścić w ciągu pięciu minut wszystkie domy. Następnie oddał te domy do dyspozycji więźniów. Silniejsi więźniowie wdarli się najpierw. Odepchnęli słabych i zaczęli łupić wille z ubrań, futer i kosztowności. Kiedy wszystkie te skarby przenieśli do mieszkań przeznaczonych dla siebie, pozwolili słabym więźniom wejść do spustoszonych domów.

- Ciotka Stefa była silną kobietą - mówi Uri Orlew. - Potrafiła, jak trzeba, strzelić w mordę każdego mężczyzny, ale stała nieporuszona i im kazała stać

spokojnie. - Dla nas wojna się skończyła - powiedziała ciotka Stefa. - My nie będziemy się bili o szmaty.

Uri Orlew jest pisarzem. •<•'" '•• r

Zaczął pisać w Bergen-Belsen, mając czternaście lat. , /;:' ,

Zaczął od poezji.

Jeden z jego pierwszych utworów poetyckich brzmi jak następuje:

Wstałem, się radowałem Chodziłem, martwiłem Czasami cieszyłem W końcu się
położyłem Zdechłem i życie skończyłem.

Wychodząc z domu Uriego Orlewa patrzę na jaśniejące w mroku mury starego
miasta i na ciemniejszą od nieba linię. Jerzy Rawicz, Oświęcim w oczach SS... .

Warszawa 1985. •';'. -; ' ' :

Poziomą, wyrazistą kreską biegnie w powietrzu, od Góry Syjon, przez Wieczernik,
Kościół Zaśnięcia Marii Panny, i dalej, w kierunku Wieży Dawida.

Pozostawiono ją na pamiątkę. Kiedy podczas wojny 1948 roku pozycje żydowskie
rozdzielone były przez Jordañczyków, Żydzi przesyłali po linii, ponad głowami
wojsk jordańskich, transporty broni.

W zeszłym roku jakiś człowiek, Francuz bodaj, przeszedł po linii bez
ubezpieczenia. W połowie drogi zrzucił buty i przesuwiał się boso, a ludzie z
tłumu złapali buty na pamiątkę.

Przejście miało symbolizować pokój między Arabami i Żydami.

Uri Orlew siedział w ogródku, ze swoim pięcioletnim synem i tłumaczył: -

Popatrz, jaki dzielny pan i w jakiej ważnej sprawie idzie... Ale syn mówił: - E
tam, tato, ja idę do domu. I poszedł.

... był cadyk,

za siedzibę obrał sobie miasteczko małe i biedne. Był uczniem innych wielkich
cadyków z małych i biednych miast: Magida z Kozienic, Symchy Bunama z Przysuchy
i Mendla z Kocka. Kiedy w 1839 roku Mendel z Kocka odizolował się od świata
(zamknął się za dwójgim drzwiami i tam przez dwadzieścia lat, aż do śmierci,
pozostał), Icchaka Meira Altera wybrano jego następcą. Po śmierci mistrza
przeniósł się do Góry Kalwarii, gdzie założył dynastię i dwór .

Żydzi tutejsi byli pracownicy i pobożni. Zbudowali ratusz, jatkę, szopy na
instrumenty ogniowe, rynsztoki, latarnie miejskie, a także trzy wielkie fabryki
- tałasów, octu i mydła.

Byli pobożni, więc wielkość cadyka rozśląwili po całym Królestwie. W roku 1898
uruchomiono kolejkę wąskotorową z Warszawy do Góry Kalwarii. Zwano ją rebes-
kolejke i zjeżdżały nią

Eleonora Bergman, Góra Kalwaria (Ger): osadnictwo żydowskie i dwór cadyków.

Referat wygłoszony na Międzynarodowej Konferencji... i tak dalej.

42

43

tysiące chasydów. Cadyk ukazywał im się z balkonu, po południu, w każdą sobotę.
Kiedy udawał się do wód, polska poliqa musiała chronić go przed naporem
żegnających. Kiedy próbowano mu zrobić zdjęcie, policja musiała chronić fotografa
przed tłumem.

W roku 1940 ostatni cadyk Góry Kalwarii wraz z dwoma synami przedostał się do
Palestyny. W roku 1941 trzy tysiące Żydów z Góry Kalwarii wywieziono do getta.
Pojechali rebes-ko-lejke.

Na dziedzińcu domu modlitwy Niemcy rozstrzelali resztę Żydów, spalili ogromny
księgozbiór cadyka, następnie założyli tam warsztat naprawy czołgów.

W dawnym domu modlitwy znajduje się magazyn mebli. Na poddaszu zachował się piec
do wypieku macy, a na nie używanych drzwiach - mezusa .

... byli cadycy,

wział "a ręce przy-
o którym całe miasto -strzelił jednego d w komisariacie w piwnicy otworzył okno
i pomógł im szefo profesora
okupae,? _
. , , jakie
żmy do dowództwa'' ale na 'r ~ P(tm)1&dział °&er -
wali oddział i przyjacielowi uda o ^^ NlGmcy 2aatak«-
Polacy ZnaleźliPmu\yjorke w S^ ^- W T^8^" ^iec. Inni
- To teraz wiecie już S ^ ^ **?* reszt^ okuPacji-
tów profesor z JerozoUmy " Py krakowski^ studen-
. Wltszawa
Pr ejach JerozoUmskich-

więc: przy Alejach Jerozolimskich -
(dlaczego właściwie ludność żydowską wysiedlono z Warszawy? To Pinchas z Korca i
Nachman z Horodenki modlili się o pomyślność Polski, a Żydów wysiedlono?
Nieładnie...)
przy Alejach Jerozolimskich, między szpitalem dziecięcym i Dworcem Głównym
mieścił się komisariat.
Do komisariatu przyprowadzono z dworca kobietę z dziewczynką. Dziewczynka miała
zły wygląd. Kobieta miała dobry wygląd i bardzo dobre papiery. Nazywała się
Emilia Ostrowska, była rodzoną siostrą Marii Ostrowskiej, wyznania
rzymskokatolickiego, zamieszkałej przy Siennej 90. Policjant, który trzymał te
papiery w ręku, wiedział, że są prawdziwe i przyglądał się oczom i warkoczykowi
dziewczynki. - Jak masz na imię? - spytał. Odpowiedziała. - Ile masz lat? -
Odpowiedziała. - To jest twoja mamusia? Skinęła głową. Odłożył kenkartę na stół,
wyjął papierosa i zaczął kruszyć go w palcach. Był to papieros zrobiony z gilzy.
Dziewczynka, która uważała siebie za fachowca od nabijania tytoniem gilz,
musiała przyznać, że i policjant robił to dość dobrze.
- Zna pani modlitwę "Anioł Pański", prawda? - zwrócił się do kobiety policjant.
- Niech nam ją pani powie.
Był wczesny ranek, dopiero zaczynało się rozwidniać, drugi z policjantów
przeciągnął się i wyprostował nogi. Byli nie ogoleni, chyba mieli dyżur od
poprzedniego dnia. Obaj przyglądali się milczącej kobiecie.
- To nie powie nam pani "Anioł Pański" - uśmiechnął się ze smutkiem policjant.
No tak - pomyślała dziewczynka. Nie nauczyła się. Takiej prostej modlitwy nie
mogła się nauczyć. Przez nią wpadniemy.
- A ty? - policjant uśmiechał się teraz do dziewczynki.
Zaczęła mówić natychmiast, gorliwie, jednym tchem: Anioł Pański zwiastował Maryi
Pannie i poczęła z Ducha Świętego, Zdrowaś Maryjo, łaski pełna, Pan z Tobą...
Patrzyła na wyprostowane nogi policjanta, ale zwracała się wprost do Niej. Oto
ja, służebnica Pańska, niech mi się stanie...

46

47

- Wystarczy - przerwał poliql'ant. - I co z wami robić? Jedna wygląda na Żydówkę,
ale umie się modlić, druga nie wygląda, ale nie umie... Wiecie co? Same
rozstrzygnijcie, która jest katoliczką, która Żydówką. Żydówka zostanie.
Katoliczka wyjdzie. Zastanówcie się i powiedzcie mi, coście postanowiły.
Cela była bez okna, oświetlała ją słaba, nie osłonięta żarówka w małej wnęce.
- Ty wyjdiesz, ja zostanę - powiedziała matka. - Jesteś młoda, powinnaś żyć. Ja
już pożyłam.
- Ty powinnaś żyć - powiedziała dziewczynka. - Ja sobie nie dam rady, nie warto
mi wychodzić.

- Jesteś dużą dziewczynką - powiedziała matka - masz już sześć lat. Podejdiesz do kogoś na ulicy... Dobrze wiesz, do kogo można podejść. Była to prawda. Za każdym razem, kiedy miały zwrócić się do obcej osoby, matka pytała: "Do niej można, jak myślisz?", a dziewczynka czasami pozwalała, a czasami mówiła: "Nie, do niej nie". - Ona zna się na ludziach - z dumą opowiadała matka. - Jest niegrzeczna, ale dwie rzeczy umie bezbłędnie: przyprawiać do smaku czerwony barszcz i poznawać się na ludziach. Dziewczynce chciało się spać. Położyła głowę na kolanach matki. - Szkoda, że nie nauczyłaś się takiej łatwej modlitwy - powiedziała z wyrzutem. - Ale nie martw się, już wiem, co zrobimy. Zostaniemy tu obie. Grota Zwiastowania w Nazarecie znajduje się w krypcie, ale drogę zagradza sznur i Grotę ogląda się z górnego kościoła. Widać oświetlony ołtarz, kwiaty i krzyż. To tutaj Anioł Pański zwiastował Maryi Pannie... Stosowne miejsce, żeby Jej przypomnieć tamte wydarzenia. Był to dobry pomysł: przysłać do komisariatu Marię Ostrowską ("Moja siostra Żydówka?!", krzyczała, aż słychać ją było w celi, "Emilko, gdzie jesteś, już ja z tymi panami porozmawiam!"). Sprawić, by policjant uwierzył w jej krzyk. A jeszcze sprowadzić dorożkę, która podjechała pod komisariat akurat jak wychodziły na ulicę. Żeby nie musia-

48

ły nawet kroku przejść z tą małą, między ludźmi, w biały dzień... Pierwszorządny pomysł to był, ale kościół, tchnący dwudziestowieczną świeżością, ze sznurem oddzielającym Grotę, nie nadaje się do wspomnień. Już bardziej Kafarnaum i Jezioro Galilejskie. Ludzkość nie zdążyła tu jeszcze zbudować świątyń, są tylko wzgórza, woda, Góra Błogosławieństw nad jeziorem i drzewa oliwne, których korzenie żyją tysiące lat, więc drzewa z TAMTYCH korzeni... Tak, Jezioro Galilejskie byłoby najstosowniejszym miejscem, żeby podziękować za wysłuchaną modlitwę, z gorliwym pośpiechem odmówioną w stronę wyciągniętych nóg znudzonego policjanta, ale izraelski przewodnik zaczyna tłumaczyć, co widzimy po prawej stronie. Otóż widzimy Wzgórza Golan. Kiedyś stała na nich artyleria syryjska, i jej pociski dolatywały na drugi brzeg, i te pociski były sowieckie, i dlatego musieliśmy zająć Wzgórza, i dlatego oni, i dlatego my, i my nigdy, i oni -i tak dalej.

W Nazarecie, w kościele Świętego Józefa pokazuje miejsce, gdzie był warsztat. Wisi nad nim obraz "Święta Rodzina". I ta Rodzina z obrazu znajduje się tutaj dokładnie, w warsztacie ciesielskim, w podziemiach Kościoła. Młody Jezus układa listwy, Józef przygląda się, czy dobrze, Maria siedzi na ławeczce z czółenkiem przędzy - oderwała się na chwilę od wrzeciona i przyszła pogadać. Wszyscy są boso, choć na ziemi pełno ostrużyn, a co najdziwniejsze, to że Święty Józef trzyma w ręku piłę pana Mietka Lalaka. Nie ulega wątpliwości: piła naszego sąsiada znad Narwi. Brzeszczot osadzony w drewnianej ramie i naciągany sznurkiem, który skręca się przekładaniem listewki. Nawet wielkość i proporcje te same, tyle że artysta namalował turkusowe ostrze pod kolor sukni Marii i paska Józefa. Coś podobnego. Tak daleko od Narwi, tak blisko Jeziora Galilejskiego -i piła pana Lalaka. I zaraz inaczej w tym Nazarecie, zaraz swojsko.

49

Profesor geologii przyjechał do Palestyny w czterdziestym szóstym roku i uczył się w szkole z internatem. Były to czasy mandatu brytyjskiego, w Anglii internaty są w dobrym tonie, więc i szkoła, do której chodził, była ekskluzywna. Kolega z domu dziecka był jedynym chłopcem z Polski w całej szkole, ale nie zadawano mu żadnych pytań. Zresztą nie znał hebrajskiego, a do tego przybywał ze świata, w którym Żydzi dali się wyróżnić bez walki. W dobrym internacie, prowadzonym na sposób angielski, musiało to budzić niesmak, nie niepokojono go więc zbędną ciekawością. Zresztą - o czym miałyby tym chłopcom mówić? O policjancie, który mu pomógł uciec przez okno? albo, że poznawano go po smutnych

oczach? Profesor nie zgadza się, że żydowskie oczy rozpoznawano, ponieważ były czarne. Polakom też się czarne oczy zdarzają. Żydowskie oczy były niebezpiecznie smutne i jemu, na przykład, ustawicznie przypominano, żeby się nie smucił. Speq'alnie prowadzono go do zoo - o, jaka żyrafa - mówiono - przecież to jest bardzo śmieszna żyrafa i ty powinienes się śmiać. Czy nie rozumiesz, że powinienes być wesoły?

Chłopcy z internatu nie pytali więc, on nie opowiadał i było zupełnie dobrze. Tak naprawdę - mówi profesor geologii -miejscowi zaczęli zadawać pytania dopiero po procesie Eich-manna. Po roku 1961.

W czterdziestym drugim roku, tj. wtedy mniej więcej, gdy dziewczynka odmawiała "Anioł Pański", przyszedł profesor geologii próbował uśmiechać się do żyrafy, a Gabriel Moked siedział po aryjskiej stronie za szafą, za którą było jednak zupełnie dobre oświetlenie - w tym samym czasie ciocia Gabriela ucierała kogel-mogel.

Gabriel pokazuje w Tel Awiwie, przy Bulwarze Ben Guriona, dom cioci. Nie możemy, niestety, wejść, mieści się w nim muzeum, o tej porze zamknięte. Muzeum Ben Guriona, którego żoną była Pola Munwes, ciocia Gabriela.

- Żydzi mają do Polaków żal, że AK dało im tylko pięćdziesiąt rewolwerów - mówi Gabriel. - A Ben Gurion? Posłał im

50

pięćdziesiąt rewolwerów do getta? A dziesięć rewolwerów im posłał? To byłoby trudne, wiem, ale kuriera, który by się dowiedział, jak jest - mógł posłać. Ani jednego rewolweru, ani jednego kuriera, ani jednego listu nie posłali Żydzi z Palestyny do Żydów w getcie. Krażyli między Nowym Jorkiem i Londynem, i ważne było dla nich jedno: przyszłe żydowskie państwo, i przyszła tutejsza wojna, na którą gromadzili broń. Ja rozumiem - mówi Gabriel - to była ważna sprawa, żydowskie państwo, ale żeby choć jeden posłali, jeden jedyny rewolwer, dla mojego ojca, doktora Jakuba Munwesa ze szpitala na Gęsiej...

W przerwach między wyjazdami do Nowego Jorku i Londynu Ben Gurion zajmował się sytuacją w ruchu robotniczym. Z partii Mapai odłączyła się właśnie frakcja B i ta frakcja była bardzo silna, i trzeba było ustalić, kto będzie ważniejszy, frakcja B czy partia Mapai. I na tym upłynął im tyśiąc dziewięćset czterdziesty drugi rok w Tel Awiwie: na kłótniach, kto będzie ważniejszy. Godzinami siedzieli w domu u Ben Guriona i prowadzili dyskusje. Potrafili po piętnaście, po dwadzieścia godzin siedzieć, byli to soq'aldemokraci, a wiadomo, ile socjaldemokraci gadają - i kiedy całkiem już zasychało im od gadania w gardłach, ciocia Pola robiła kogel-mogel.

Po wojnie Gabriel Moked dowiedział się, jak umarł jego ojciec, doktor Jakub Munwes ze szpitala na Gęsiej.

Pacjent doktora, sierżant granatowej policji, zaproponował mu u siebie schronienie, ale doktor odmówił - chciał doczekać w getcie powstania. Po powstaniu grupę pracowników szpitala zapędzono na Umschlagplatz, do budynku, w którym mieściła się szkoła, do sali na pierwszym piętrze.

Ktoś siedzący przy oknie wstaje... W tej samej chwili rozlega się huk wystrzału; kula świszczę koło jego głowy, przebija górne cześć drzwi i robi dziurę w suficie na korytarzu. Na salę wpada dwóch esesmanów.

"Yerfluchte! Kto strzelał?! Kto ma broń?!"

Tratuję ludzi, leżących na podłodze, zatrzymują się przed doktorem Munwesem, ordynatorem oddziału wewnętrznego.

"To ty strzelałeś?!"

51

Munwes nie może wydobyć z siebie słowa. -;, "Komm mit".

Łapię go za kołnierz i wlokę na korytarz: "Teraz powiesz!..>," Rewiduję go.

Oczywiście broni nie znajduję. "Gdzieś podział rewolwer? Nie powiesz?!"

Zbir bije go żelaznym drągiem po głowie. Munwes zalany krwią pada na ziemię... .

Gabriel Munwes, Moked obecnie, spędził okupację za szafą. Było tam zupełnie dobre oświetlenie i po całych dniach czytał książki. Kiedy wyszedł z szafy, miał dwanaście lat. Od tej pory jest erudyta. Doktorat robił w Oksfordzie, pisał rozprawy o estetyce i wykląda filozofię na uniwersytecie imienia Ben Gu-riona. Pisarz Amos Oz powiedział, że kiedyś Żydzi byli zahipnotyzowani przyszłością. Teraz zahipnotyzowała ich przeszłość. Jedno i drugie jest fatalne - powiedział pisarz. Żydzi powinni żyć dniem dzisiejszym, jakikolwiek on jest. Gmach Muzeum Archeologicznego w Jaffie zbudowali Anglicy w okresie mandatu. Budynek wzniesiono na gruzach twierdzy tureckiej z szesnastego wieku (której zresztą nie udało się zdobyć Napoleonowi). Turcy postawili swoją twierdzę na ruinach twierdzy mame-luckiej z trzynastego wieku. Mamelukowie postawili twierdzę na ruinach budowli Krzyżowców z wieku dwunastego. Krzyżowcy wzniesli fortyfikacje na budowli bizantyjskiej z wieku szóstego. Bizantyjczycy - na twierdzy hellenistycznej z trzeciego wieku przed naszą erą. Tadeusz Stabholz, Siedem piekieł. Stuttgart 1947.

52

Grecy - na twierdzy perskiej, którą wystawił Kambizes, syn Cyrusa, w wieku siódmym przed naszą erą.

Persowie - na ruinach egipskich z przełomu wieku trzynastego i czternastego przed naszą erą.

Ruiny egipskie są na czymś, co było zbudowane nie wiadomo przez kogo.

Bowiem w Izraelu jest wszystko i wszystkie światy, jakie kiedykolwiek istniały, można znaleźć.

Nie ma tylko jednego świata. W którym była piekarnia Fajn-zylbera i był garnek żeliwny, oblepiony ciastem, i była rodzina, która w sobotnie południe zasiadała do czulentu.

Bo i skąd miałby się wziąć ów świat, skoro był stąd trzy tysiące kilometrów. Skoro był w Lublinie, na ulicy Złotej (nie na Złotej właściwie, przecież Fajnzylber w ogóle nie przyjmował czulentu; nosiło się na Rybną, albo na Grodzką; razem z łokszn kugel - koniecznie w glinianym naczyniu...).

... byli uczeni

(byli pisarze, poeci, muzycy, malarze, lekarze, matematycy, fizycy, historycy, filozofowie, językoznawcy... Wielu pochodziło z małych miast. Na przykład wszyscy prawie wielcy językoznawcy pochodzili z miasteczek galicyjskich, z biednych, pobożnych rodzin).

Mojżesz Schorr z Przemyśla: był nie tylko znawcą prawa babilońskiego i asyryjskiego i profesorem uniwersytetu we Lwowie; został także naczelnym rabinem Warszawy i senatorem Rzeczypospolitej Polskiej. Jako rabin i były senator został zesłany podczas ostatniej wojny do Uzbekistanu, gdzie zmarł;

Hersz Izaak Oesterreicher z Przemyśla: w 1920 roku, podczas wojny polsko-bolszewickiej zgłosił się na ochotnika na front i został ranny odłamkami szrapneli; jako członek Polskiej Akademii Umiejętności przeprowadził reformę ortografii obowiązującą do dzisiaj; autor głośnej monografii o imiesłowie biernym; wyjątkowo łagodny, mimo to miał ciśnienie dochodzące do trzystu; w wieku lat sześćdziesięciu, jako stary kawaler, ożenił się z Polką i przeszedł na katolicyzm; w getcie nosił opaskę z gwiazdą; profesor Lehr-Spławiński wywiózł go do majątku swojej żony, gdzie zmarł na uremię;

53

Salomon Jaszński z Łodzi: mógł być największym talentem w polskim językoznawstwie, gdyby nie był komunistą; skazany za komunizm na cztery lata więzienia i skreślony z listy studentów; wypożyczano mu do więzienia książki z biblioteki uniwersyteckiej; z kolejnych więzień pisywał listy do profesora Nitscha - a to o zabytku staro-cerkiewno-słowiańskim Kodeks supmski, a to o stanie współczesnej polszczyzny; profesor Nitsch wstawiał się do prokuratora,

Jaszuńskiego zwalniano, ale po wyjściu działał dalej i znów szedł do więzienia; poległ nad Ebro w wojnie domowej w Hiszpanii; Alfred Fei z Mińska: wszedł do historii językoznawstwa jako autor dwóch rozpraw - Jana Kochanowskiego zwroty pospolite i wytworne oraz Ze studiów nad oblężeniem Jasnej Góry; zginął w getcie.

... byli Żydzi w Polsce,
w piętnastym wieku było ich trzydzieści tysięcy,
w siedemnastym wieku - czterysta tysięcy,
w dziewiętnastym wieku - dwa miliony,
w pierwszej połowie dwudziestego wieku - trzy miliony,
w drugiej połowie dwudziestego wieku - dwadzieścia tysięcy.

Liczba żydowskich ofiar podczas ostatniej wojny (podobnie jak podczas wojen 1648-1657) była mniejsza niż polskich - powiedział profesor, specjalista od demografii historycznej - ale procentowo Żydów zginęło rzeczywiście więcej. Stanisław Urbańczyk, Żydzi w polskim językoznawstwie. Referat wygłoszony na Międzynarodowej Konferencji... i tak dalej.

**

Zygmunt Sułowski, Ludność żydowska na terenach polskich podczas ostatniego tysiąclecia. Referat wygłoszony na Międzynarodowej Konferencji "Historia i Kultura Żydów polskich", Jerozolima 1988. . . . *,.....< ,. *

54

S y n d r o n a o c a l o n y c h

Arnold Friedman - przedsiębiorca w przemyśle drzewnym i elektronice; Yosaif Yarmush - chasyd; Henry Fenigstein - doktor medycyny; Dubi Arie - artysta-malarz; Baruch Goldstein - teolog; Dov Marmur - naczelny rabin synagogi reformowanej.

Arnold:

- Mój tatuś był biedakiem. Miał jedną krowę, jedną izbę, jedną żonę i pięcioro dzieci.

Jest biedak, który nic nie ma.

Jest Żyd, który pożyczka od biedaka, co nic nie ma.

I jest ten, który mieszka kątem u Żyda, co pożyczka od biedaka, który nic nie ma.

Mój tatuś był na szczycie tej drabiny, więc za izbą, w której wszyscy mieszkaliśmy, była druga, w której był sklep, bowiem każdy Żyd w Rakoszyńcu posiadał coś do sprzedania.

Rakoszyńcu miał tysiąc domów, kościół katolicki dla Węgrów i dla Polaków, unicka cerkiew dla Ukraińców, żydowską synagogę i własny, rakoszyński kalendarz. Wiosną tuczyło się gęś na Pesach, a jesienią kurę na Jom Kipur, po Rosz Haszana, kiedy popołudnia zaczynały się skracać, a cienie były coraz dłuższe, nastawiało się moszcz na nowe wino, po winie darło się pierze,

55

a po pierzu przychodził czas ukopania kartofli na Chanukę, na latkes.

Ci, co mieszkali od strony kościoła, mówili po żydowsku z węgierskim akcentem, a ci, co mieszkali od strony cerkwi, mówili po żydowsku z akcentem ukraińskim.

Kiedy w Rakoszyńcu zrobiono getto, nasi ukraińscy sąsiedzi chcieli schować u siebie jedną z moich sióstr, a węgierscy sąsiedzi drugą, ale mój tatuś bardzo im podziękował. Powiedział, że woli, by cała rodzina zginęła razem, to przynajmniej będzie wiedział, jaką śmiercią umierały jego dzieci.

Przed samym Pesach nasz dawny ukraiński sąsiad, który został policjantem, powiedział tatusiowi: - Macie jeszcze dwie noce. Dzisiaj śpijcie normalnie, jutro szykujcie się, a pojutrze po was przyjdę. Tatuś podziękował sąsiadowi za uprzejmość, mamusia poczęstowała go zeszłorocznym winem i poszliśmy spać.

Następnego dnia spakowaliśmy rzeczy, usiedliśmy przed domem i słuchaliśmy tego dziwnego dźwięku, który narastał w mieście. Jakby jęk to był, jakby śpiew...

Kiedy zaczął się zbliżać w naszą stronę, powiedziałem tatusiowi, że ja jednak

wolę żyć, niż ginąć z całą rodziną, i poszedłem w stronę Mukaczewa. Przed Mukaczewem dogonił mnie mój młodszy brat. Trzymał tłumoczek w ręku i mówił, że tatuś każe mi wracać, ale ja już miałem piętnaście lat, więc odpowiedziałem, że nikt mną nie będzie rządził. Wtedy mój brat wyjął z tłumoczka garnitur, który mi uszyli na bar micwę, i powiedział, żebym uważał na siebie, i zawrócił do Rakoszyna.

Po dwóch tygodniach załadowali nas w Mukaczewie do wagonów i wysiedliśmy w Oświęcimiu na rampie. Selekcję prowadził osobiście doktor Mengele, który wybierał zdrowe dzieci od czternastu do siedemnastu lat. Mengele był spokojny i bardzo piękny. Milczał i tylko dawał znak wskazującym palcem: na lewo, na prawo, na lewo, na lewo, na lewo... - a esesmani odprowadzali dzieci na stronę. Dzieci płakały za rodzicami, rodzice próbowali odebrać dzieci, esesmani krzyczeli, w całym tym hałasie my dwaj byliśmy spokojni, Mengele i ja. On, bo tylko pokazywał palcem, i ja, bo już nie miałem za kim płakać.

56

Zostało nas, dzieci wybranych przez Mengele, pięć tysięcy i zajęliśmy pięć baraków. Modliliśmy się, jak uczono nas w domach: rano sławiliśmy Boga, bo dał nam dzień, wieczorem opłakiwaliśmy zburzenie jerozolimskiej świątyni, między modlitwami łapaliśmy wszy, a komando z baraku, zwanego Kanada, podrzucało nam czekoladę po zagazowanych holenderskich Żydach.

Na Rosz Haszana ustawili nas przed barakami. Zdjęliśmy ubrania, a Mengele pokazywał, kto ma odejść na stronę - nie palcem tym razem, tylko ręką, w której trzymał zapalonego papierosa. Kiedy papieros gasł, zapalał go i znowu pokazywał kierunek. Na drugi dzień któryś z dorosłych więźniów powiedział - Widzicie dym? To wasi koledzy, którzy wczoraj odeszli na stronę.

Na Jom Kipur znowu ustawili nas przed barakami.

Na Kuczki ułożono na dwóch słupkach deskę i ci, co mogli pod nią przejść nie schylając się, odeszli na stronę.

Kiedy skończyły się jesienne święta miesiąca Tiszri, o których mówią, że mieści się w nich cała tajemnica Żydów, wszystkie żydowskie dzieci mieściły się już w jednym baraku.

Wyzwolili nas Amerykanie. Było to w górach, w drodze do Dachau. Od razu pojechałem do Rakoszyna i zacząłem czekać. Czekałem sześć miesięcy, ale nikt więcej się nie pojawił. Kiedy zrozumiałem, że nie ma na co czekać, wróciłem do moich kolegów z obozu. Do Londynu lecieliśmy samolotem, do Halifaxu płynęliśmy okrętem, z Halifaxu jechaliśmy koleją. Paru wysiadło w Montrealu, paru w Toronto, a reszta w Vancouver, bo pociąg dalej nie chciał jechać.

Yosaif: < .

- Nasz ruch, zwany w chasydyzmie Chabad, od pierwszych liter trzech najwyższych hipostaz Boga - Chochma, czyli mądrość, Bina, czyli rozum, i Daat, czyli wiedza - założył dwieście lat temu Szneur Zalman z Ładów, uczeń Wielkiego Magida -

57

kaznodziei z Międzyrzecza. Syn Zalmana osiadł w miasteczku Lubawicze, kolejne pokolenia jego wnuków nauczały, że droga do Boga prowadzi przez rozum, aż nadeszła rewolucja bolszewicka. Nasz rebe przebywał wtedy w Rostowie nad Donem. Na Purym 1920 roku bolszewicy zajęli miasto i rebe rzekł: - Nie lubię ich. Nie mogę pozostać, kiedy są tak blisko - i umarł. Przywództwo duchowe nad lubawickimi chasydami objął Josif Icchak, prawnuk Zalmana z Ładów w szóstym pokoleniu.

Wielu Żydów opuszczało Rosję, ale Josif Icchak pozostał. Nie mógł opuścić ludzi, którym Jewsekcja - jęwejska sekcja partii bolszewickiej - tłumaczyła, że modlitwa jest zabobonem, my-kwa przeczy higienie, a bóżnice należy zamienić na komsomol-skie kluby.

Któregoś dnia, gdy Josif Icchak w otoczeniu swoich chasy-dów pogrążony był w modlitwie, do bóżnicy wtargnęła grupa uzbrojonych czekistów. Najstarszy wyjął rewolwer i wymierzył w rebe go.

- Ta zabawka - zaśmiał się - zmieniła poglądy na świat niejednego mądrego przed tobą.

- Ta zabawka - odparł rebe Josif - może przestraszyć człowieka, który ma wielu bogów i jeden świat. Ale ja mam jednego Boga i dwa światy, doczesny i przyszły, i nie boję się twoich zabawek.

Josif Icchak był jedynym przywódcą chasydzkim, który pozostał w Rosji Radzieckiej i próbował organizować życie religijne Żydów. Piętnastego czerwca 1927 roku został aresztowany. Przesłuchiowano go po nocach, zamykano w ciemnicy ze szcurami, ale strajk głodowy ogłosił dopiero wtedy, gdy odebrano mu tefilin, które Żyd nosi podczas modlitwy. Po trzech dniach głodówki tefilin zwrócono i natchnione chasydzkie pieśni rebe go znów rozbrzmiewały na korytarzach więzienia.

Któregoś dnia zaprowadzono go do naczelnika. Naczelnik zawiadomił o złagodzeniu kary i pokazał dokument. U góry kartki rebe przeczytał - WYROK ŚMIERCI, ale słowa były przekreślone. Niżej napisano - DZIESIĘĆ LAT NA SOLÓWKACH, ale

58

obok widniało słowo Niet. Jeszcze niżej zobaczył - KOSTRO-MA, TRZY LATA.

- Macie, obywatelu rebe, sześć godzin - powiedział naczelnik. - Udacie się do domu i przygotujecie do podróży. Był czwartek.

- Kiedy pociąg przyjedzie do Kostromy? - spytał rebe.

- W piątek wieczorem.

- Przykro mi - odparł rebe. - Nie zwykłem podróżować w szabas. I zostawiono rebe go w karcerze aż do niedzieli.

Po powrocie z zesłania Josif Icchak opuścił Rosję. Przede wszystkim udał się do Ziemi Świętej, potem pojechał do USA, gdzie złożył wizytę prezydentowi Hooverowi, potem osiadł w Warszawie.

Kiedy zaczęła się wojna, chasydzi skłonili rebe go Josifa do wyjazdu. - Ktoś musi żyć - mówili. - Ktoś musi przechować mądrość narodu - i Josif Icchak, którego imię noszę, szósty cadyk z Lubawicz, opuścił Warszawę i przez Wilno i Szanghaj przybył do Ameryki.

Henry:

- Jestem filatelista. Zbieram znaczki od sześćdziesięciu pięciu lat: zbierałem w gimnazjum Kreczmara na Wilczej, na studiach medycznych, w warszawskim getcie, a obecnie zbieram w Kanadzie.

W getcie pracowałem w szpitalu na Gęsiej. Któregoś dnia znajomy filatelista spytał, czy chciałbym spotkać się z filatelistą niemieckim.

Chciałem.

Niemiecki filatelista przyszedł do naszego szpitala w stroju służbowym: w mundurze Hauptsturmführera SS. Uprzejmie przywitał się, usiadł w fotelu i powiedział, że interesuje go stary Gdańsk, stare Niemcy i dobre kolonie angielskie.

Spytał, czym ja się interesuję. Odparłem, że zbieram wszystkie getta: znaczki, pocztówki, a zwłaszcza koperty ze stempla-

59

mi gettowych poczt. Niestety, nic dla mnie nie miał, ale ja miałem sporo dla niego, często przychodził więc i godzinami siedzieliśmy nad katalogami Michla. Miałem dużo pracy, bo poza zajęciami w szpitalu i zdobywaniem dla Konrada (tak nazywał się mój znajomy Hauptsturm-führer) dobrych, starych znaczków, uczestniczyłem w badaniach nad głodem. Prowadził je w getcie zespół lekarzy, wykorzystując wyjątkową dla medycyny szansę: obfitość materiału badawczego. Do badań naukowych potrzebne są sekcje, a ja byłem patologiem, asystentem Józefa

Steina, doktora medycyny i filozofii, i przeprowadzanie ich należało do moich obowiązków.

Sekcje robiłem w szpitalu na Stawkach - w dawnym budynku szkolnym, w prosektorium, na parterze. Narządy, wyjęte ze zwłok, kładłem kolejno na wagę, studenci odczytywali wynik, następnie zestawiałem tablice: zabarwienie skóry, obrzęki głodowe w stosunku do zabarwienia skóry, częstość zaniku poszczególnych narządów w chorobie głodowej - i tak dalej.

Stwierdziłem, że w głodujących ludziach zmniejszało się i zanikało wszystko: serce, płuca, wątroba, nerki... Tylko jeden narząd się nie zmniejszał: mózg. Tak więc Konrad przychodził często, siadał w fotelu, przeglądał katalog i miał prośby. - Wiesz, co by mi się przydało? - mówił. - Porządna, dziewiętnastowieczna kolonia, choćby Mauritius. Albo: - Masz może starą Austrię? Załatwiałem mu znaczki przez innych żydowskich filatelistów, Konrad płacił bonami na węgiel, a ja wracałem do prosektorium.

Wszystkie sekcje wykonywałem sam - wprawnie i bez emo-q'i. Jeszcze dziś obudzony w nocy, mógłbym je robić po ciemku. Pierwszy ruch - cięcie poziome, od ramienia przez obojczyk, z lewa na prawo, drugi ruch - od góry, przez mostek w dół, do kości łonowej, trzeci - odsłonięcie klatki piersiowej i brzucha, i czwarty, już nożycami... Trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt osiem serc, nerek, mózgow i płuc położyłem na wagę.

Dwudziestego kwietnia czterdziestego trzeciego zadzwonił Konrad.

60

- Nie powinieneś pozostawać w szpitalu - powiedział. -Przyślę adiutanta.

Miałem dwie możliwości: uwierzyć lub nie uwierzyć.

Uwierzyłem.

Adiutant Konrada zaprowadził mnie z grupką znajomych na Umschlagplatz.

Czekaliśmy dwa dni, trzeciego dnia przyszedł Ukrainiec i wyczytał nasze nazwiska. Poszliśmy do wagonów. Wieczorem pociąg przyjechał do Lublina. Nie wiem do dziś, czy Konrad wiedział wcześniej, że pociąg nie jedzie do Treblin-ki, czy też specjalnie dla mnie to załatwił. Tak czy owak Lublin był bardzo ładnym rewanżem kolegi-filatelisty za Mauritiusa.

Następnie byłem w sześciu obozach i wyruszałem właśnie do siódmego, gdy wiozący nas pociąg zatrzymał się w polu, gdzieś na południu Niemiec. W tym to miejscu mój szlak wojenny przeciął się z wojennym szlakiem amerykańskiej armii generała Pattona. Wkrótce potem przyjechałem do Kanady.

Dubi:

- Moja matka miała siedem sióstr, wszystkie siostry miały mężów i dzieci, mieszkaliśmy na Nowolipkach. Tylko my przeżyliśmy, matka i ja. Wyjechaliśmy do Palestyny i zaraz po przyjeździe matka umarła. Miała trzydzieści sześć lat. Nie chorowała, na nic nie skarżyła się, uznała widać, że jej misja jest zakończona. Przeżyła wojnę, uratowała mnie i przywiozła do Palestyny... Uznała, że misja zakończona i że już ma prawo przyłączyć się do swoich sióstr.

Jak nakazuje tradycja, przez cały rok, dzień po dniu, trzy razy dziennie, odmawiałem kadisza za moją matkę. Kiedy minął rok, pojechałem do kibucu i poprosiłem o trzy rzeczy: dużo jedzenia, papier bez linii i trochę kredek.

Mając siedemnaście lat poszedłem do armii. Zostałem spadochroniarzem i walczyłem w wojnie sześciodniowej. Walczyłem w Jerozolimie. Mieliśmy przy sobie małe radia tranzystorowe, które nadawały komunikaty z frontu. Usłyszeliśmy głos: "Na-

61

sze wojska zdobywają wschodnią Jerozolimę, zbliżają się do Ściany Płaczu, walki trwają...". To było o nas, to my zdobywaliśmy wschodnią Jerozolimę, ale dopiero usłyszawszy komunikat, pojęliśmy, co się dzieje: zdobywamy Jerozolimę, zbliżamy się do Ściany Płaczu. Wszyscy to zrozumieli jednocześnie i wszyscy w tej samej chwili zatrzymali się. Zsunęli z ramion plecaki, wyjęli tałesy, narzucili je na mundury i powiedzieli na głos: Szema Israel adonaj elohejnu adonaj ehad...

(Słuchaj Izraelu, Pan, Bóg nasz, Pan jeden jest...). Po czym schowali tałesy, nałożyli plecaki i pobiegli dalej. Wojna trwała. Co do mnie - nie otwierałem ani nie zamykałem plecaka. Byłem z bardzo postępowego kibucu, który nie wyposażał swoich żołnierzy w tałesy. Następnie zajęliśmy desantem z helikopterów Wzgórza Go-lan i wróciliśmy do domów. Mój dom mieścił się odtąd w kibucu Shaar Agolan - Wrota Golanu, między Jordanią i Syrią, po jednym kilometrze od każdej granicy. Przez dwa lata wszystkie nasze dzieci nocowały w schronach, a czasami nie opuszczały ich przez cały dzień, mimo to żadna z siedmiuset rodzin nie porzuciła kibucu. Dopiero po wojnie Jom Kipur, kiedy dzieci mogły wyjść na powietrze, poprosiłem o zezwolenie na studia. Przez pięć lat uczyłem się malarstwa na Akademii Sztuki, następnie wróciłem do pracy, na plantację avocado. Uprawiając owoce avocado, rozważałem, co począć z resztą mojego życia. Kiedy uznałem, że wiem, pojechałem do profesora z Akademii. - Muszę namalować obraz - powiedziałem mu.

(Być może wiedziałem to już wcześniej: kiedy zdobywałem Jerozolimę, a żołnierze odmawiali Szema Israel adonaj... A nawet jeszcze wcześniej: kiedy odmawiałem kadisz za moją matkę, która zdecydowała się przyłączyć do swoich siedmiu sióstr, zagazowanych w Treblince). - Muszę namalować obraz. Historię narodu... Profesor poradził mi, żebym malował daleko od Izraela, ponieważ artysta musi wyzwolić się z emoq'i i mieć dystans wobec tematu.

62

Wytłumaczyłem członkom kibucu, że artysta musi mieć dystans i wyzwolić się z emocji i kibuc wyraził zgodę na mój wyjazd. Kupili mi bilet i przyjechałem do Kanady.

Baruch:

- Urodziłem się w Bronksie, moi rodzice urodzili się w Bronksie, moi dziadkowie przyjechali do Bronksu z Polski. Wszyscy byli dobrymi, religijnymi Żydami. Ja też miałem być dobrym Żydem. Chodziłem do hebrajskiej szkoły, odbyłem bar micwę, posciłem w Jom Kipur i oplakiwałem zburzenie świątyni.

Poszedłem do wojska i wysłano mnie do Wietnamu. Byłem odważny, młody i chyba przypominałem tych chłopców z amerykańskich filmów o Wietnamie. Może byłem od nich trochę mniej okrutny i cyniczny. A może byłem równie okrutny.

Któregoś dnia stałem na warcie.

Ściemniało się.

Mrok zapada w Wietnamie szybko, jak gdyby zniecka. Wiedziałem, że powietrze zaraz zrobi się sine, a potem granatowe, a potem już czarne, i że będzie to gorąca, lepka czerń, przylegająca do skóry. Zrobiło mi się smutno. Może dlatego, że się ściemniało, a ja byłem okropnie daleko od Bronksu...

Dwieście metrów przede mną stał na warcie mój kolega. Pomyślałem, że i jemu pewnie jest smutno i że ja na chwilę podejść do niego i razem wypalimy papierosa.

Ruszyłem w jego stronę.

Kiedy byłem w połowie drogi, coś dziwnego stało się z moimi nogami - te nogi przestały mnie nieść. Chciałem iść dalej, ale nogi były coraz bardziej ociężałe. Zawołałem: Hej, tam, idę do ciebie! Kolega odwrócił do mnie twarz i stało się coś jeszcze dziwniejszego. W miejscu, w którym stał kolega, uniosło się w górę trochę korzeni i liści, zawirowały, rozsypały się w powietrzu jak sztuczne ognie i powoli opadły. Nic się nie stało specjalnego, nie pamiętam nawet, bym słyszał jakiś wybuch, ty-

63

le, że kiedy opadły liście, kolegi już nie był

nćlło l^l".rvr**-

:o, a z

nęła krew.

mojej ręki pływ-

Rana nie była ciężka, w lewej ręce zostały
rialr-a J

"_.-., .. ._,,x) ^.-c ^usiały mi jeszcze dwa całe palce.

Kiedy leżałem w szpitalu, moi koledzy wpadli w zasadzkę Yietcongu i zginęli.

Wszyscy zginęli - dziewięćdziesięciu dziewięciu żołnierzy.

Nasz oddział liczył stu ludzi.

Ja byłem setny.

Ocalałem, ponieważ nie wpadłem w zasadzkę,

Ponieważ leżałem w szpitalu tego dnia.

Ponieważ zostałem ranny w rękę.

Ponieważ nogi nie chciały mnie nieść, jak szedłem w stronę kolegi.

Wróciłem do Stanów. Renta za moje palce była zupełnie niezła jak na młodego
człowieka. Pojechałem do Kalifornii i zostałem hippisem.

Byłem szczęśliwy. Żyłem, miałem przyjaciół, chciałem, żeby moi przyjaciele byli
równie szczęśliwi, żeby inni ludzie byli równie wolni jak ja, chciałem się
dzielić wszystkim, co posiadałem, ze wszystkimi.

Przyjechałem na parę dni do rodziców do Bronksu i dowiedziałem się, że mój
młodszy brat został chrześcijaninem. Zdenerwowałem się okropnie i zacząłem na
niego krzyczeć.

- Jak możesz im wierzyć? Nie wiesz, ile antysemityzmu jest w ich nauce? Ile
nienawiści? Ile nielogiczności i błędów?!

- Gdzie są ich błędy i ich nienawiść? - spytał brat.

Kupiłem Nowy Testament, usiadłem i zacząłem czytać - żeby znaleźć nienawiść i
pokazać bratu. Każdy Żyd wie, że chrześcijanie są niedorzeczni, i że nienawidza
nas, i ja wiedziałem o tym równie dobrze.

Przeczytałem Ewangelie, ale nie mogłem niczego znaleźć. Przeczytałem drugi,
potem trzeci raz. Pomyślałem, że wszystko, co czytam, jest mądre i piękne. Czy
nie po to wróciłem z Wietnamu - pomyślałem - ja jeden, z całego naszego
oddziału, żeby zrozumieć?

64

Ukończyłem teologię w chrześcijańskim college'u i poświęci
łem się jednej, jedynej sprawie: rozmowom z Żydami o Jezusie.

Odzyskiwaniu Jezusa, którego my, Żydzi pozwoliliśmy sobie
odebrać. ".-,- , v.T. .,.,.,.«.;>...< , , , •

Arnold:

- Kanadyjczycy, którzy powrócili z wojny, to byli bohaterowie. Trupy nie
wracały, trupy pozostały w Europie. Ci Kanadyjczycy, którzy wiedzieli, jak się
ginie, zostali w Europie. Ci, co wracali, opowiadali, jak się zwycięża.

My wiedzieliśmy, jak się ginie, ale my byliśmy obcy i opowiadaliśmy w obcym
języku. Kogo obchodzą obce tragedie? Widać - myśleli Kanadyjczycy - istniały
dwie Europy, jedna, w której działy się obce, śmiertelne rzeczy, i druga, z
której wracali ich bohaterowie.

Jak myśmy zaczęli opowiadać o Oświęcimiu, to kobiety, które wpuściły nas do
swoich domów, mówiły: - Myślicie, że my nie przeżyliśmy okropności? Cukier
mieliśmy na kartki, dwa lata czekało się na samochód, a przydziały materiału na
ubrania były tak małe, że nie starczało na mankiety do spodni. Nasi ojcowie
musieli nosić spodnie bez mankietów! (Dopiero po czterdziestu latach naród
kanadyjski zaczął nas pytać o europejską wojnę: - Czytaliśmy, że tam były bardzo
nieprzyjemne warunki, czy to jest prawda?). Więc przestaliśmy ich zanudzać,
wróciliśmy do życia i zaczęliśmy szukać pracy, bo jak ktoś nie miał pracy, to
nawet przeżycie wojny przestawało go cieszyć.

Toronto ciągnęło się wtedy od jeziora Ontario na północ, do ulicy St. Clair, a
za St. Clair zaczynały się lasy. I Żydzi, którzy szukali pracy, szli do lasów.

Z Europy przyjeżdżało po wojnie dużo ludzi, ale wszyscy ciągnęli do swoich. Polacy do innych Polaków, do Windsor, Ukraińcy do Ukraińców, do Winnipeg, tylko Żydzi szli przed siebie, w otwartą przestrzeń, w las. Nie odwaga nas gnała, tylko przerażenie.

65

Tutejsi Żydzi nie byli źli. Nie chcieli, co prawda, naszych smutnych historii, za to życzliwie pokazywali, jak się przekręca kontakt. Przybywaliśmy przecież ze wschodu, z ciemnoty i zacofania, to skąd mieliśmy wiedzieć, jak się zapala światło? I oni nam pokazywali to naprawdę chętnie.

Ci z nas, którzy znali angielski i potrafili napisać aplikację - podanie o pracę - dostawali posady w ofysie, w biurze, na poczcie, gdziekolwiek, i trzymali się ich do końca życia.

Ci, co nie potrafili napisać podania, poszli w las i zaczęli budować z drewna. Z Europy wracali żołnierze kanadyjscy, którzy dorobili się na powojennym czarnym rynku. Farmerzy przenosili się do przemysłu, do miast... Jedni i drudzy kupowali stare domy, a właściciele starych domów kupowali nowe, a te nowe domy budowaliśmy my - za głupi, żeby napisać podanie o pracę.

My - Żydzi z Oświęcimia i z gett, za głupi na aplikację, nie mieliśmy innej rady: musieliśmy iść w las, i budować, i zostać milionerami.

Prawie każda historia żydowskiego milionera z Toronto zaczyna się w Polsce - od ocalenia i od powrotu.

Napisałem o tym wiersz, o moim powojennym powrocie do Rakoszyna.

Welcome Moshku

you have survived... "'.'''

Witaj, Moszku,

więc ty przeżyłeś... "' '

A mówiono, że zginęliście wszyscy.

(Oni nie mieli nic przeciwko nam, oni się tylko bardzo dziwili).

Twoje rzeczy rozdzieliliśmy sprawiedliwie... Kto by pomyślał, że powrócisz.

(Oni się nie cieszyli na nasz widok. Oni się nie smucili na nasz widok. Oni się tylko bardzo dziwili).

Welcome Moshku,

wiec ty przeżyłeś... " .*. , .-*. .*. , .

66

I od tamtego zdziwienia musieliśmy uciec. I od kanadyjskich spodni bez mankietów. I od naszych snów, w których każdej nocy, niezmiennie, czyjaś ręka pokazywała nam kierunek: na prawo, na lewo, na lewo, na lewo...

Strach nas gonił.

Uciekaliśmy w las, a w tym lesie czekały miliony.

Yosaif:

- Większość szkół chasydzkich, które powstały niegdyś na polskich ziemiach, istnieje w świecie do dziś: szkoła z Bobowej, z Przysuchy, z Góry Kalwarii...

Nie różni nas stosunek do Boga - wszyscy zwracamy się do niego tymi samymi słowami, w dni powszednie zakładamy tefilin do modlitwy, zapalamy świece w szabas i szanujemy rodziców. Różnimy się jedynie pojmowaniem chabaz i chabad - roli uczuć i intelektu. Bóg dał nam bowiem i rozum, i uczucie, i używamy obu, żeby Mu służyć, ale chcielibyśmy wiedzieć, co jest pierwotne: intelekt, który wytwarza emocje, czy wiara, która wyzwala pragnienie wiedzy.

Inne wspólnoty chasydzkie żyją w małych, zamkniętych grupach i chronią się przed światem. My żyjemy wśród ludzi. Ten telefon przed chwilą był w sprawie zakupionych przez kogoś srebrnych sztućców - co zrobić, żeby stały się koszerne. Kobieta, która stąd wyszła, pytała, co zrobić z nie gojącą się raną.

Najtrudniejsze sprawy przekazujemy naszemu cadykowi. Jest nim Menachem Mendel Szejerson, przywódca chasydów z Lu-bawicz w siódmym pokoleniu. Rezyduje w Nowym Jorku. Kwitłech - listy z pytaniami i prośby - przekazujemy mu telefaksem.

Mam trzydzieści siedem lat, żonę i sześcioro dzieci. Moje dzieci uczą się w szkole religijnej.

Nie posłę ich na uniwersytet, nie ma lepszego uniwersytetu niż Tora.

Z moich dzieci wyrosną bogacze.

Bogaty człowiek, to człowiek szczęśliwy. E•-/< ;:

67

Nietrudno być szczęśliwym. Wystarczy robić to, czego Bóg od nas oczekuje.

Wystarczy Mu się odwdziaczyć za wybranie nas do bycia Żydami.

Nie jesteśmy lepsi niż inne Jego dzieci, ale jesteśmy najhojniej obdarowani przez Niego. To nas wyposażył w dar najcenniejszy: w sześćset trzynaście praw, zawartych w Torze.

Henry:

- Porzuciłem patologię i studia nad chorobą głodową, w Kanadzie mało przydatne, i zacząłem leczyć chorych, jako lekarz domowy, family doctor. Najczęściej leczyłem emigrantów: Żydów, Polaków, Holendrów, Japończyków i Ukraińców. Żydzi byli z gett i obozów koncentracyjnych, Polacy i Ukraińcy z obozów i łagrów, Japonka była z Hiroshimy.

Okazało się, że ludzie ci chorują na dziwną chorobę. Ponieważ żaden family doctor nie uczył się o niej na medycynie, poszedłem na studia jeszcze raz i w wieku lat pięćdziesięciu czterech zostałem psychiatrą.

Moi pacjenci byli w większości jedynymi ocalonymi ludźmi w swoich rodzinach.

Stwierdziłem, że niezależnie od narodowości i przeżyć, wszyscy - i ludzie po łagrach, i ludzie po wybuchu bomby atomowej, i ludzie po Oświęcimiu - wytwarzają ten sam chorobowy symptom: poczucie winy. Czuli się winni wobec swoich zamordowanych rodziców, dzieci, braci i sióstr, ponieważ nie podzielili ich losu. Nie popełnili innych przestępstw - nie zabrali nikomu chleba, nie zepchnęli nikogo z pryczy... Żyli - to był grzech, którego dopuścili się, i którego nie potrafili sobie wybaczyć.

Tę jednostkę chorobową nazwano w medycynie survivor's syndrom. Syndrom ocalonych.

Stałem się specj'alistą w zakresie owej choroby, przez mój gabinet przewinęły się setki paq'entów.

Stałem się specjalistą od choroby ocalonych.

Jednych wyleczyłem dość szybko, niektórych prowadzę do dziś. (Wyleczyłem...?

Pomogłem zawrzeć pokój z własną przeszłością, tylko tyle). Mam jeszcze kilkunastu pacjentów, w większości kobiety, Żydówki, z małych polskich miasteczek. W ich relacjach jest najpierw wojna, a po niej powrót do domu. W ich opowieściach o powrocie jest parę powtarzających się szczegółów: studnia, pierzyna, łyżeczka do herbaty... "Ja nic nie chciałam od nich, ja chciałam tylko dotknąć studni, której dotykała moja matka...". "Ja chciałam mieć choćby łyżeczkę do herbaty po mojej matce, jedną jedyną łyżeczkę, nic więcej...". Ale domy były zajęte, wszystkie łyżeczki dawno rozebrane, ze studni czerpali wodę obcy ludzie, którzy przyjęli je z niechętnym zdziwieniem. Wyjechały więc z małych polskich miasteczek do Kanady i przez czterdzieści lat żyły z chorobą ocalonych. Niedawno moja asystentka zawiozła kilka pacjentek do Polski - pierwszy raz od zakończenia wojny. Rozejrzały się po swoich Nowych Dworach i Glinnikach. Zauważyły, że są jeszcze mniejsze i biedniejsze niż we wspomnieniu. Zamieniły kilka obojętnych zdań z mieszkańcami. Zapewniły ich, że nie przyjechały po łyżeczki. Dotknęły ręką studni i wróciły do Kanady. Wróciły uspokojone. Podobnie jak moja japońska pacjentka, która pojechała do Hiroshimy pierwszy raz od wybuchu bomby. Nie wiem dlaczego wracają uleczone - i Hideko z Hiroshimy, i Łubka z Glinnika. Nie rozumiem tego i nie próbuję sobie wyjaśnić. Jedno nie zmieniło się. Są nadzwyczaj starannie ubrane. Muszą być umalowane, ubrane, dzielne i zdrowe. Muszą doskonale wyglądać, żeby nie iść na lewą stronę, jeśli znowu będzie selekcja...

Dubi: •

. . . ; ' .

- Mój obraz ma dwanaście i pół metra na dwa i pół.

Mój obraz jest ogromny, ponieważ przedstawia całą historię Żydów. Zaczyna się od Abrahama, krzaka gorejącego i tablic z Góry Synaj, ciągnie się poprzez Ukrzyżowanie, zburzenie je-

69

rozolimskiej świątyni, diasporę, pogromy, Zagładę, wojny o państwo Izrael, a kończy się wizją przyszłości: powrotem Mojżesza do odbudowanej świątyni. Na moim obrazie są prorocy, królowie, sędziowie, rabini, anioły, żołnierze, są ptaki i zwierzęta, są mury Masady i sześć nagrobnych kamieni, jak sześć milionów zgładzonych Żydów. Nim przystąpiłem do pracy, poprosiłem o błogosławieństwo cadyka z Lubawicz. Wiedziałem, że opuszcza swój dom tylko raz w tygodniu: idzie na grób swojego teścia, Josifa Icchaka, by rozmyślać i czytać listy. Spędza tam wiele godzin, jest zupełnie sam i czyta tysiące listów. Wraca do domu, by go opuścić po tygodniu w tym samym celu, i tylko w tym - by pójść z listami na grób mistrza... I ja posłałem mu list i cadyk odpowiedział: pobłogosławił moje przedsięwzięcie.

Obraz oceniono na miliony dolarów, dwa czy cztery, nie wiem dokładnie, bo nie zamierzam go sprzedać. Chciałbym ofiarować go Jerozolimie. Chciałbym, żeby ludzie dali się unieść falowaniu kolorów i kształtów, i żeby zadawali pytania. Nie mnie, sobie samym, bowiem - jak lubawiccy chasydzi - uważam, że droga do nieba prowadzi przez rozum.

budzi, i ostatnie, z którymi zamyka oczy, na sen albo na wieczność).

Czytanie Tory odbywa się we wszystkich synagogach świata trzy razy w tygodniu: w poniedziałek, czwartek i sobotę.

Kiedyś, dawno temu, w większości polskich miasteczek, w poniedziałek i czwartek odbywał się targ, więc rabin korzystał z obecności Żydów, przyjeżdżających z okolicy w interesach, i zarządzał w te dni modlitwę. I dlatego brat mojej żony, jeden z największych biznesmenów w całym Toronto, nałoży jutro tefilin. I dlatego jego syn będzie jutro wezwany do czytania Tory.

Bo jutro jest czwartek.

Bo dawno temu, w jakichś małych, polskich miasteczkach, czwartek był dniem targowym.

Bo dawno temu, w jakichś małych, polskich miasteczkach, byli Żydzi.

71

Arnold:

- Jutro jest czwartek. Jutro, podczas modlitwy, zostanie przedstawiony w synagodze nasz bratanek. Rabin wezwie go do czytania Tory i zawiadomi zebranych, że chłopiec się żeni. Następnie da mu kilka rad i pobłogosławi na dalszą drogę życia.

Ojciec chłopca musi podczas uroczystości nosić tefilin, ale brat mojej żony rzadko bywa w synagodze i nie pamięta, co i jak się do modlitwy nakłada.

Przyszedł i pokazałem mu, że tefilin umieszcza się na czole, nad mózgiem, i na ręce, od strony serca, bo cały mózg i całe serce powierza się Bogu. (W tefilin - w małych, skórzanych pudełeczkach, znajduje się modlitwa Sze-ma Israel - Słuchaj Izraelu - pierwsze słowa, z którymi Żyd się

70

Listy do cadyka

Zawsze się śpieszą. Czas znajdują późnym wieczorem, taksówka już czeka, zapewniają, że wkrótce odezwą się i pytają, czy ma ktoś może kontakty z Rosją. Naprawdę interesują ich tylko rosyjscy Żydzi, ponieważ SA. Tutaj zostały pamiątki, o które trzeba dbać, ale ludzi już nie ma. Ta garstka młodych, która mieści się w pokoju hotelowym amerykańskiego rabina? Czyjaś nawrócona żona -

gojka, nie obrzezany syn, rzymskokatolicki strażnik żydowskich cmentarzy... Tym można się wzruszyć, ale na tym nie da się zbudować żadnej przyszłości. Skracają więc rozmowę, obiecują odezwać się i odlatują do Moskwy.

Niedawno wbiegli dwaj na cmentarz w Warszawie - czarne. kapelusze, splecione pejsy, podróżne torby, dwadzieścia parę lat. - Panie Janku, panie Janku - wołał kierownik cmentarza - ci panowie szukają cadyka z Brześcia i cadyka z Mińska Mazowieckiego! Więc Janek z nimi, biegiem, bo taksówka czeka, do cadyka z Brześcia, tu młodzieńcy piszą coś, wrzucają kartkę do grobowca, króciutko się modlą, wyjmują z tych toreb aparaty, robią zdjęcia - i dalej, kłusem, do cadyka z Mińska Mazowieckiego. I na lotnisko, bo dziś jeszcze wracają do Paryża. Kartki, które się na cmentarzach zostawia, to listy. To sprawy, które swojemu zmarłemu cadykowi powierza Żyd. Kiedy cadyk żył, a cadyk znaczy - sprawiedliwy, odpowiadał osobiście.

72

Spełniał prośby, udzielał rad, leczył chorych, rozstrzygał spory i ogłaszał wyroki. Na drabinie, łączącej Żyda z Bogiem, był -dzięki swojej świętości i pobożności - w połowie drogi. Do Boga miał bliżej niż ludzie, do ludzi miał bliżej niż Bóg, poprzez niego więc wola boża docierała na ziemię. Kiedy umierał, moc jego nie ustawała. Na odwrót, być może zwiększała się, skoro miał teraz do nieba bliżej jeszcze. Żydzi przychodzili więc na cmentarze, zapalali swoim cadykom świece i zostawiali im sprawy spisane na kartkach.

Żydzi mają do Boga dużo spraw, ale są z nimi tak daleko: w Nowym Jorku, Paryżu, Montrealu, Tel Awiwie... A cadycy po dawnemu: w Leżajsku, Kozienicach, Przysusze, Górze Kalwarii. Nie pozostaje więc nic innego, niż przyjechać. Ze swoją kartką i swoją świecą z Paryża do Przysuchy albo z Montrealu do Kozienic. Najpierw trzeba się dowiedzieć, gdzie leży cadyk.

Idzie się na pagórki, połączone starymi transejiami, zarośnięte trawą, albo do lasu, pracowicie posadzonego w czynie społecznym przez mieszkańców. Dotyka się paru kamieni, wrosniętych w ściółkę, które nie nadawały się, widać, ani do brukowania dróg, ani na osepki. Patrzy się bezradnie na rzekę, która niezmiennie opływa cmentarne wzgórze i podnosi się z ziemi zbielałą kość, którą odsłonił przejeżdżający spychacz. W okolicznych starych domach szuka się starych ludzi: - Przepraszam państwa, czy może pamięta kto, gdzie leży cadyk?

Łatwo było zapamiętać miejsce, bo nad grobami cadyków wznosiły się małe, drewniane albo murowane budynki. Taki budynek nazywa się po hebrajsku ohel, namiot. Chronił grób i zaznaczał świętość zmarłego. W Kozienicach znaleziono bez trudu podmurówkę ohelu, bo zachował się plan cmentarza. W Przysusze szukano przez wiele dni, aż znalazł Jan Werenc, który z żoną, łopata i krową wybrał się na cmentarz na niedzielny spacer. W Warce wskazał Jankowi Jagielskiemu ślad cegły młody człowiek o kulach. Teraz mają szukać w Mszczonowie.

73

Janek Jagielski jest geochemikiem, spędza czas w Instytucie Chemii Przemysłowej i na żydowskich cmentarzach. - Zawsze zadają mi dwa pytania, zawsze te same. Dlaczego to robię i czy jestem Żydem. Na drugie pytanie łatwo mi odpowiedzieć: nie, nie jestem. Ale dlaczego to robię? Nie wiem. Może znaczy to coś, czego nie rozumiem, a może nic nie znaczy. Pewne jest, że spośród ludzi, żyjących w Polsce, ja wiem najlepiej, gdzie jest jaki grób na żydowskim cmentarzu. Kiedy pojawiają się w mieście, cali na czarno, z czarnymi brodami i w jarmułkach i zaczynają szukać, natychmiast powstaje pytanie, co schowali. Naturalnie - złoto. Bo i czego może szukać Żyd, jak kopie na cmentarzu?

Jan Werenc, cieśla, którego dom stoi na tyłach cmentarnego lasu, także zastanawiał się, o co chodzi. Natrafił na podmurówkę sam, od razu: kopnął na sztych, na głębokość łopaty, zobaczył cegłę i szybko zasypał ślad. Była niedziela, nie wypadało kopać, ale paść wypadało, więc krowa pasła się w pobliżu, oboje z żoną spacerowali sobie i rozważali, co może być ukryte pod

fundamentem. Może pieniądze schowane na wojnę? A może ten cały bożek tutaj leży? Pismo święte mówi przecież, że mieli Żydzi bożka ze złota, może więc zakopali go właśnie w Przysusze i teraz szukają?

Nazajutrz Żydzi przyjechali znowu. Samochodami zwieźli z okolicy najstarszych ludzi - i nic, każdy pokazuje inne miejsce. Wtedy Jan Werenc powiedział im: - Panowie, ja pokażę. Wziął łopaty, zięcia, synów i odsłonił cegłę... Splatane wszystko było, poprzerastane korzeniami, kilofem rozdzielali gałęzie. Tamci nie mówili nic, stali, patrzyli, czasem brali do rąk jakiś kamień, odczytywali hebrajskie litery i ostrożnie odkładali na stronę. Kiedy już cały fundament był odkopany, poszli do Werenców na herbatę. Synowa nakroiła kiełbasy, nie tknęli nawet. Może jajek? Też nie, bo i naczynie musi być koszerne. Na szczęście synowa miała nowiutki garnuszek, poszli do kuchni, sprawdzili, pozwolili ugotować jajka i jeszcze zgodzili się na sałatkę z pomidorów.

74

Wtedy Werenc ośmielił się całkiem: Panowie, a czego szukacie u nas? Bo może złotego bożka? I dopiero wyjaśniło się, że cadyka szukają. - Cadyk ów był tak mądry, że rodzi się taka jednostka raz na sto pięćdziesiąt lat. Co on wymyślił w minutę, inny nie wymyśli przez całe życie - tłumaczyli goście z Nowego Jorku. - I temu cadykowi, nad odnalezionym grobem, trzeba teraz postawić nowy o/ze/. Ile to będzie kosztowało? - spytał jeden z Żydów i sięgnął po portfel. - Chwileczkę, panowie - zaniepokoił się Werenc. - Bez zgody gminy? Bez planów? U nas stodoły nie wolno postawić bez zezwolenia, a wy domek dla cadyka chcecie, tak ot?

We wrześniu ohel był gotowy. Pobielono wnętrza, zawieszono hebrajskie tablice sławiące świętych mędrców. Na każdej tablicy namalowana jest świeca. Wszyscy oglądają świece z podziwem, bo kiedy włączy się prąd, ich sztuczne płomyki zaczynają się chwiać, jak na wietrze. Zięć, który instalował, mówi, że to z Japonii. Na drewnianej barierce są ślady pierwszych świec prawdziwych. W głębi, pod ścianą, leżą na podłodze pierwsze zapisane kartki. Listy z Nowego Jorku do cadyka w Przysusze.

Sąsiedzi zaczepiają Werenców na ulicy. - Prawda to, że Żydów sprowadzacie do Polski nazad? - Prawda - odpowiada Werencowa. - Żydzi o niczym innym nie marzą, tylko żeby ustawić się o świcie przed masarnią z kartką na mięso a wieczorem z talonem przed składem węgla.

Żydzi przyrzekli zaprosić Werenca z synami i zięciami do Ameryki. - To samo będziecie robili, co tutaj - powiedział najważniejszy z nich, ale nie zrozumieli. Na co im w Ameryce ohe-le, jak nie mają własnych cadyków?

Bylebym tam nie umarł - martwi się Werenc. - Przewóz trumny kosztowałby majątek. Co prawda ludzi z kontraktów przewozi się na koszt państwa. Jednego przywieźli z Libii w trumnie do samej Przysuchy i państwo pokryło, tylko, czy jego to obejmie? Bo jak nie, to niech go spalą, najwyżej. Popiół lekki, nie będzie nadpłaty za bagaż.

75

Wszyscy się tak okropnie śpieszą... Rabini do Moskwy, Żydzi do cadyka, a Rafał Sosiński śpieszył się do pociągu. Miał jeszcze obie nogi i wracał z Warszawy do domu z wyładowaną torbą. Zakupy udało mu się zrobić niebywałe. Parówki, schab, a jeszcze boczek wędzony, a jeszcze buty męskie, dla szwagra, na ślub... I ta właśnie torba ściągnęła go swoim ciężarem ze stopni. Nie wypuścił jej z rąk, nawet kiedy był już między peronem a wagonami. Nawet kiedy ostatnie koło miażdżyło mu nogę, nawet kiedy leżał na noszach. Dopiero matce wręczył ją, w szpitalu, z ulgą i dumą.

Rafał Sosiński, kuśtykając na swoich kulach, pokazuje Jankowi Jagielskiemu ślad podmurówki po ohelu. Potem prowadzi na dół i pokazuje, gdzie stał domek Wierzbickiej. Potem coś mówi o cadyku z Warki, nazywając go Mengele. - Mendel - poprawia Janek J. - Prawda - zgadza się Rafał S. - Mengele to taki lekarz. Potem podnosimy kość, którą odsłonił przejeżdżający spychacz. Rafał S. wyjmuje mi ją z

ręki, mówi - nie, ona tu musi zostać - odkłada swoją kulę, ręką wykopuje dołek, układa kość i starannie zasypuje ziemię.

Historia Przysuchy według Miast Polskich w Tysiącleciu, Ossolineum 1965: pierwsza wzmianka, 1490, dotyczy transakcji handlowej Pawła Męciny; w szesnastym wieku była kuźnica z kołem wodnym, a w osiemnastym papiernia i młyn; w okresie rozbiorów - cztery fryszerki, szabelnia i tartak. W Przysusze urodził się etnograf Oskar Kolberg, w pobliskich lasach chronili się partyzanci, między innymi majora Hubala. Klasycystyczny kościół, intensywna eksploatacja glinki ogniotrwałej.

Miejscowy historyk-amator uzupełnia: żoną naszego hrabiego była przez dwa lata tancerka Loda Halama, zachował się kalendarz szkolny na rok 1934/35 z maksymami: Dbaj o grosze, złotówki będą dbały o ciebie; Kto zbiera i rzadnie wydaje, ten szacunku doznaje - itd.

Zatem: Paweł Męcina - Kolberg - Hubal - Loda Halama... No, dobrze, a Jakub Icchak z Przysuchy, zwany Jehudim?

76

A Symcha Bunam z Przysuchy, uczeń Jehudiego? W Opowieściach chasydów Martin Buber wymienia siedmiu cadyków z Przysuchy (jeden z rozdziałów nosi tytuł: "Przysucha i szkoły pobratymcze") i od nich to wywodzi sławne chasydzkie szkoły: Warkę, Kock, Górę Kalwarię. Ale i w Dziejach Warki o tym nie piszą. Jest o wybitnych warecczaninach - Pułaskim, Wysockim, Matlakowskim. O milczącym cadyku, Mendlu z Warki, nie pamiętają wcale. - To nie jest w porządku, że nie pamiętacie o Mendlu z Warki - mówię panu Matlakowskiemu, wnukowi tamtego, z książki, lekarza i etnografa, autora prac o chirurgii, o kulturze Podhala, a także krytycznego wydania Hamleta w przekładzie własnym. - Nie jest - zgadza się pan Matlako-wski. - A co w dzisiejszym świecie jest w porządku?

Na Polakach ciąży obowiązek pamięci - napisał Jakub Karpiński w artykule "Asymetria". - Ktoś powinien w Polsce pamiętać o Żydach...**

Czy istnieje obowiązek pamiętania?

Kto miałby pamiętać? W Przysusze? W Warce?

Pod pomruk Kazimierza Pułaskiego przyjeżdżają co roku przedstawiciele ambasady amerykańskiej i składają wieniec z samych róż, do tego z niebieskich. Czy można nie pamiętać o różach - amerykańskich? niebieskich?

O Piotrze Wysockim pamięta Marianna Sosińska z Knyziów, matka Rafała. Babka Sosińskiej opowiadała, że Wysocki wołał do niej "Doziu, Doziu" i dawał cukierki. Matce Dozi, czyli prababce Sosińskiej opowiadał Wysocki, że na zesłaniu jakaś kobieta przynosiła mu codziennie obiad. Z każdego obiadu zostawiał zawsze jedną kluskę, a w niej troszeczkę złota, z kopalni. Kiedy wyjeżdżał, kobieta chciała mu oddać złoto, ale nie przyjął, wrócił do Warki jak stał, w jednym ubraniu... Tak opowiadała o Piotrze Wysockim matka Rafała S. i to właśnie jest pamięć: prababka - babka - Dozia - cukierki -

Martin Buber, Opowieści chasydów. Przekład Paweł Hertz. Poznań 1983. **

Jakub Karpiński, Asymetria. "Aneks", 41/42, Londyn 1986.

77

No dobrze, ale chodzi o Wysockiego, który prowadził polskich powstańców na Belweder. A Icchak z Warki i Mendel z Warki nie tylko nie prowadzili Polaków, lecz w ogóle nie mówili do nich. Nie dla nich przeznaczona była ich mądrość i ich nauka.

Mendel z Warki i do Żydów nie mówił. Mendel z Warki milczał. Kiedyś, spotkawszy rabiego z Kozienic, przemilczał z nim godzinę, po czym rzekł: teraz doszliśmy do ładu. Milczenie stanowi szczególny rodzaj pobożności - pisze Buber. - Kiedy rabbi Mendel wypowiada się o milczeniu (...) ma na myśli nie bezgłośnie modlitwę, lecz bezgłośny płacz lub krzyk. Bezgłośny krzyk jest reakcją na wielkie cierpienie....

Czyż w świecie, w którym - jak pan Matlakowski mówi -wszystko jest nie w porządku, można dosłyszeć bezgłośny płacz? W dodatku - kiedy płacze rabbi Mendel z Warki?

Niedawno rozebrano resztki domu, który stał pod wzgórzem cmentarnym od strony Pilicy. Szykowano tam kiedyś zmarłych do pogrzebu. Myto ich, owijano całunem, a powieki nakrywano monetami, by wstających z grobów w dniu Sądu nie oślepiło Światło. W domku mieszkała Wierzbicka. Nikt nie pamiętał imienia, "Wierzbicka" mówią. Miała niewidomego męża. Była silna, najmowała się u Matlakowskich do młócki i pracowała na równi z mężczyznami. Ósmego września przybiegła do Matlakowskich z krzykiem: "Wierzeje otwarte!". Myślała, że ktoś stodołę podpalił, a to była bomba zapalająca, pierwsza w Warce.

Pilnowała cmentarzyska nawet kiedy nie było już Żydów ani nagrobków. Kijem przeganiała ludzi, którzy przychodzili na wzgórze paść owce. Pewnego dnia wybuchł na wzgórzu pożar. Paliła się trawa i resztki drzew - brzozy i olszyny. Wierzbicka biegała od drzewa do drzewa i próbowała gasić. Coś się wtedy z nią stało, mówią, że popsuło jej się w głowie tamtego dnia. Pan Matlakowski zobaczył ją po raz ostatni chorą, zziębniętą, Martin Buber, Opowieści chusydów. Poznań 1983. , , . ; ;- ; , : :

78

na barłogu. Podobno córka ją zabrała do siebie. Podobno umarła. W osiemnastowiecznej przysuskiej synagodze zmieniono dach i podparto stropy żelaznymi wspornikami. Po wykonaniu tych prac budowlani opuścili budynek. We wnętrzu, pod ażurową kutą balustradą zostawili butelkę po "Czystej", słoik po gulaszu kujawskim, część butelki po piwie "Specjał" i trzydzieści worków z cementem. Na zewnątrz, pod murem: blaszane kapsle po piwie, plastikowe kapsle od wina, puszki od konserw, guziki, stłuczone szkło, zeschnięte kupy, strzęp etykiety "Gołąbki z mię", kolanko od rury, wezglówek od tapczana, włóczkowa czapeczkę, strzęp podkoszulka, rękawice robocze i jeden gumowy kalosz. Rękawic jest najwięcej, bo przeskadzały w otwieraniu butelek. Włóczkowa czapka - bo zsunęła się przy picciu z przechylonej głowy. Wezglówek od tapczana - bo wymieniono stary mebel na coś nowszego. Butelki - wiadomo. Kupy - bo...? Musimy wrócić - zawołał do swoich uczniów rabbi Bunam. -Ściany pozywają mnie na sąd, bom nimi wzgardził i okrył je wstydem.

Opowiadając o cadykach z Przysuchy Buber pisze o lesie. Do lasu poszedł prosto ze swego wesela syn rabiego Bunama i wraz z grupką przyjaciół uczył się chasydyzmu. Do lasu poszedł po niego ojciec. Nakazał - Wróc - syn spojrział na niego "jak zbudzony ze snu" i wrócił do swojej młodej żony. Przez ten sam las - jak pisze Buber - jechał Widzący z Lublina, nazywany tak dla swojej przenikliwej intuicji i rzekł: "Kiedyś tu będzie cała jawna i tajemna nauka".

Nie wiadomo, gdzie wszystko to się działo, bo lasy w okolicach Przysuchy są rozległe.

Może to był las tuż za Przysuchą, z którego wyszedł Jankiel Kozłowski, by zapukać do drzwi Józefy Tomasikowej? Jej dom stał pod lasem, wszyscy więc, którzy stamtąd nadchodzili, najpierw pukali do niej. Przynosiła Jankielowi na strych jedzenie i dużo książek. Zastrzelili go po roku, pod domem. Wnuczka

79

Józefy opowiada, że trzy razy strzelali, a kule odbijały się od niego, dopiero czwarta kula go zabiła. Wynajętą furmanką zawieźli zwłoki Jankiela na cmentarz, a Józefę Tomasikową z córką do aresztu. Józefa zmarła w Brzezince, w szóstym bloku, córka przeżyła Oświęcim i Ravensbruck, mąż Józefy ukrywał się do końca wojny.

A może to był las, do którego poszedł z trzema kolegami Antoni Smerdziński? Leśniczy poprowadził ich, Hubal spytał -"po co tu przychodzicie?", a przyjmował tylko tych, którzy umieli odpowiedzieć. Ich przyjął, bo w oddziale był już Woźniak z Przysuchy. Kropnął go później Siwek w restauraq'i Rejmerowej,

by zemścić się za Żydów, których Woźniak polikwidował. Żydzi byli w oddziale partyzanckim i kiedy Niemcy rozbili oddział, błakali się po lesie. (Więc może to ten las? W którym się błakali... W którym ich Woźniak...). Ale to nieprawda - mówi Antoni S. - Woźniak był dobrym człowiekiem, Żydów musiał polikwidować kto inny. Stara Rejmerowa, jakby żyła, wiedziałaby, bo trzech trupów zostało w jej restauracji: dwaj oficerowie niemieccy i Woźniak. Ale Rejmerowa nie żyje, teraz - mówi Antoni S. - my już na kolejce. Nie płacz - powiedział umierający rabbi Bunam swojej żonie. - Całe moje życie było tylko po to, abym nauczył się umierać. Antoni S. zgadza się z rabbim. Oswojony jest zresztą z cudzym umieraniem z racji zawodu: od pięćdziesięciu lat maluje blaszane trumienne tabliczki. Tabliczki są opłacalne: kawałek blachy, trochę farbki, nazwisko, Pokój Jego Duszy i gałązka limby przez krzyż, taka a la palma. Ostatnio miał mało pracy. Modlił się o klientelę i wysłuchano go: na Wszystkich Świętych posypały się zamówienia na odnawianie tabliczek. Niestety, zapomniał się pomodlić o farbę, której nie ma w całym województwie.

Antoni S. mieszka w domu, w którym siedemdziesiąt lat temu się urodził. Przed nim mieszkał tu ojciec, też malarz. Dookoła były warsztaty żydowskie, wyrabiano w nich łańcuchy, okucia, zamki... Od czwartej już stukali, a teraz taka cisza nad ranem, że nie można zasnąć.

80

Antoni S. prowadzi ożywione życie towarzyskie. W rocznicę bitwy mają mszę i bigos, w rocznicę śmierci Hubala spotkania z harcerzami i odprawę wart, w miejscu postoju pułku mają cmentarz, a jeszcze podnoszą banderę na okrętach, odsłaniają tablice, spotykają się z młodzieżą... I to właśnie jest pamięć: -msza - harcerze - okręt - bigos -

O Jankielu, że ukrywał się w domu Józefy Tomasikowej, dowiedziałam się z listu jej wnuczki, już po naszej rozmowie. Kiedy rozmawialiśmy, wiedziała tylko o Oświęcimiu. - A Żyd? - spytałam, bo Antoni S. mówił, że chodziło o ukrywanego Żyda. - Mama wspominała, że coś takiego miało miejsce, ale nie dopytywałam się...

- Był czas - pisała w liście - że lepiej było o tym nie wspominać. Oświęcim - tak, o Oświęcimiu można było zawsze, a za co... Może to komuś będzie przeszkadzało, że za Żydów...

Oszałamiające cyfry zgrozy i zagłady przyczyniły się, jak dotąd, bardziej do zubożenia niż do pamiętania - pisał Stanisław Vincenz. - Można rzec prawie, że ugruntowuję obojętność, bo nikt mówiąc milion nie może sobie wyobrazić czegoś więcej niż cyfry. Z kolei nie może udzielić milionowi ofiar naprawdę ludzkiego współczucia, solidarności, żałoby... W rezultacie im bardziej ludzie są otrząskani z zawrotnymi cyframi zagłady, tym bardziej, osiągając jak gdyby statystyczną formację duchową, przytępiają wrażliwość... Tymczasem wiemy, że każdy człowiek umiera sam i raz tylko .

Powtórzmy za Stanisławem Yincenzem:

Panie, który jesteś pamięcią wśród wszystkich zapomnień, wzbudź w nas pamięć o obojgu. O Józefie Tomasikowej i o Jankielu Kozłowskiem spod lasu, tuż za Przysucha.

Stanisław Yincenz, Tematy żydowskie. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn.

81

Narożny dom z wieżyczką

Pamięci Krzysztofa Masewicza

Jest zaskakująco rozległy jak na Kock. Zbudowano go z ciężkich, drewnianych bali, nad narożnym wejściem, paradnym, wzniesiono wieżyczkę. Z daleka wydaje się okrągła, a jedno z jej okien jakby ktoś uchylił, ale z bliska widać, że to nie jest uchylone okno, tylko szyby brakuje. Z bliska widać, że wieżyczka jest nie okrągła, lecz dziesięcioboczna, zbita z poprzecznych bali i pionowych słupków. To tutaj?

To w niej mieszkał, w tej okrągłej, drewnianej izdebce?
Martin Buber pisał, że miejsce odosobnienia cadyka chroniło dwoje, zawsze zamkniętych drzwi. W jednych przebito otwory, przez które podawano mu wieczorem zupę, drugie drzwi sam otwierał, kiedy zbierali się za nimi chasydzi. Stawał wtedy w progu, w bieliźnie, z okropnym wyrazem twarzy i łajał ich w oderwanych, gwałtownych słowach z taką mocą, że opadał ich lek i uciekali drzwiami i oknami. O których drzwiach myślał Buber?
Jedne są w wieżycy. A drugie? Za którymi chasydzi się zbierali?
Martin Buber, Opowieści chasydów. Poznań 1983.

No dobrze, a zegar gdzie stał? Przecież Lejzorek Rojtszwaniec mówił wyraźnie, że w izbie kockiego cadyka stał zegar. Cadyk - opowiadał Lejzorek - czytał nieznośnie mądre księgi i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nad tymi księgami rozmyślał. To już nawet nie był człowiek, to była sama wzniosła myśl... I otóż święty, wzniosły cadyk zwierzył się przed śmiercią ukochanemu uczniowi, że przez całe swoje ponure życie ciężko grzeszył: słuchał kobiecego śpiewu. W jego pokoju stał zegar, dzieło nieszczęśliwego zegarmistrza z Proskurowa. Zegarmistrzowi umarła narzeczona, młoda i piękna, i zrozpaczony zaklął w biciu zegara jej głos. Dźwięk był tak cudowny, że cadyk nie mógł go nie słuchać. Wiedział, że to grzech, bo powinien był siedzieć i rozmyślać nad prawdą, ale podchodził do zegara i sprawdzał, czy się przypadkiem nie śpieszy albo czy się nie spóźnia odrobinę. Poprawiał wskazówkę, zegar zaczynał bić i zaczynała z nim rozmawiać piękna i smutna kobieta. Ona mówiła mi o miłości i o smutku - zwierzał się ukochanemu uczniowi - mówiła o gwiazdach i kwiatach, o mojej martwej wiośnie i pełnej życia wiośnie zwariowanego zegarmistrza, w której śpiewają ptaki i w której szemrze deszcz.

Tak opowiadał, prokuratorowi zresztą, Lejzorek R., więc nie może to nie być prawda: w wieżycy stał zegar.

Ale gdzie stał?

Izdebka ma trzy okna - nie sądzę, by mógł się pomieścić między nimi. Już raczej przy wejściowych drzwiach, gdzie teraz stoi karton z zakurzonymi szmatami. Poza szmatami są jeszcze nie umyte słoiki, podarte kołdry, puste butelki, strzępy gazet - zwykły asortyment świętych, żydowskich miejsc. W przysuskiej synagodze był zresztą nieporównanie bogatszy: jeszcze i wez-główek od tapczana, jeszcze kawałki rur, czapka, cement, a w obu miejscach niezmienny, zawsze obecny, nieuchronny wręcz - brudny, gumowy but. I zawsze jeden. W kockim domu cadyka - jeden, i w synagodze przysuskiej - jeden. W Kocku -
Ilja Erenburg, Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwanca. Przekład Maria Popowska. Warszawa 1957.

82

83

prawy, w Przysusze - lewy. Wydaje się, że są od pary - tak jest, czterdziesty czwarty numer. I któż to miał taką dużą nogę? Me-nachem Mendel z Kocka czy Symcha Bunam z Przysuchy? Menachem Mendel był niewysoki, z wielką brodą i gorejącymi oczami, Symcha Bunam zaś był podróżnikiem, światowcem, człowiekiem interesu... Wygląda mi to na rozmiar przysuskie-go rabbiego. Ale dlaczego kalosze są oblepione zeschniętym błotem? Czy rabbi przybywał do Kocka na piechotę? Bo dlaczego zostawił kalosz, to zrozumiałe: przez roztargnienie. Pochłonęła go dysputa z dawnym uczniem, którego Buber przyrównał do rozdzieranej błyskawicami ciemności nocy, gdy mistrz był dla Bubera łagodnym blaskiem zachodu słońca...

Przykro mi. Symcha Bunam umarł dwanaście lat przed odosobnieniem Menachema Mendla.

Więc czyj jest porzucony, prawy, zabłocony kalosz?

I gdzie stał zegar?

Dom - cd.

Stoi przy zbiegu dwóch śródmiejskich ulic, Polnej i Wojska Polskiego.

Historycy architektury powiedzieli, że może pochodzić z połowy dziewiętnastego wieku.

Czy może to być pierwsza połowa?

Więźba dachu jest ciosana siekiera, umocowana drewnianymi kołkami, bez gwoździ... Tak, to może być...

Czy to mogą być lata 1829-1859?

Dom - cd. <•;>•••,• ;,

Paradne wejście ozdobiono pretensjonalną płaskorzeźbą: tym-panonem, podtrzymywanym z obu stron przez dwa wazony.

Przybył do Kocka w 1829 roku. (Przyjechał z Tomaszowa, w którym nakazywał swoim chasydom opuścić na długie miesiące rodziny, w dzień pracować fizycznie, w nocy zgłębiać tajem-

84

nicę Boga, człowieka i samego siebie. Odwiedził kilka miast szukając nowego siedliska, w Kocku przywitano go kamieniami. - Jedno jest pewne - rzekł. - Ci ludzie nie są obojętni wobec spraw najważniejszych. I pozostał w Kocku aż do śmierci).

Przybył, by żądać od Żydów całkowitego oddania Bogu i pogardy dla doczesności, nie wartej westchnienia.

Czyż człowiek, który gardzi doczesnością, może gustować w banalnym tympanonie?

Rzeźbę musiał zamówić kto inny, po śmierci cadyka. Jego syn, wnuk, może egzaltowana synowa. Po takich domach, obok zacnych i pobożnych niewiast, oddanych rodzinie, snuły się przecież piękne, niespokojne kobiety, w sukniach z dekoltem, podające rękę obcym mężczyznom, czytające wiersze i tęskniące za dalekimi światami...

Ale mogli wyrzeźbić ornament, gdy cadyk jeszcze żył, tylko już był odgradzony od nich wszystkich.

Już po pamiętnym piątku, o którym potomni mawiali ze zgrozą i trwogą - TAMTEN piątek, i każdy bez zbędnych słów rozumiał, o jakim to potwornym dniu jest mowa...

Nie wiadomo do dzisiaj, co właściwie zaszło.

Podobno wszedł do bóżnicy późnym wieczorem.

Podobno naruszył szabas świętokradczym dotknięciem świecznika i coś krzyknął.

Podobno chasydzi chcieli go zwięzać, a obronił go najwierniejszy uczeń, Icie Meir, ten który w przyszłości miał założyć sławną dynastię cadyków w Górze Kalwarii...

Nie wiadomo do dzisiaj, przeciw czemu zbuntował się Menachem Mendel. Mówią, że przeciw ludziom, którzy nie potrafili sprostać wezwaniu Boga. Mówią, że przeciw samemu sobie, który nie potrafił sprostać ni Bogu, ni ludziom. Ale może to Bóg nie sprostał oczekiwaniom Menachema Mendla, cadyka z Kocka?

Dotykając świecznika, wykrzykiwał słowa o jakimś sędzie. Niektórzy usłyszeli okropne, bluźniercze słowa:

- Nie będzie sądu! Nie ma sędziego!

85

Wyrwawszy się wzburzonym chasydom Menachem Mendel poszedł do swojej izby i zamknął za sobą drzwi na zawsze.

Wyrzeźbili tympanon zatem po TAMTYM piątku. Gdy więzień, który sam na siebie wydał wyrok dożywotniego, dwudziestoletniego odosobnienia, już nie mógł wiedzieć, co dzieje się w domu i co znaczy uporczywe stukanie młotka, dolatujące z dołu, znad narożnych, paradnych drzwi.

Dom - cd.

Czy aby na pewno w tej wieżycze?

Zastanawiają wcięcia wzdłuż wewnętrznych, pionowych słupków. Są zbyt czyste ze względu na konstrukcyjne. Wyciosano je dla czystości formy, dla płynności linii dziesięcioboku.

Wymagały cierpliwej, czulej pracy. Dla godnego lokatora musiała być przeznaczona ta czułość...

Dla kogo budował dziewiętnastowieczny cieśla ów dziesięciobok z oknami zwróconymi w trzy strony świata: na wschód, na zachód i na południe?

Zastanawia, że wieżyczki nie połączono żadnym przejściem z izbą na parterze. Należy wdrapać się na strych po zewnętrznej drabinie i górą przebyć kilkanaście metrów. Dzisiejsi mieszkańcy domu zapuszczają się na górę niechętnie. - Tam straszny. Wyraźnie słychać kroki i głos. U-huuu, u-huuu - słychać. Czasami są i słowa, tylko trudno wyrozumieć, bo po swojemu mówi. - A bicie zegara nie słychać? - Zegara nie, tylko kroki i głos: u-huuu.

Tak, to dziwne, że nie połączono wieżyczki z parterem. Czy nie dlatego, że jej mieszkańiec chciał być oddalony od domu, od mieszkańców, od reszty świata... Co wieczora podawano mu jeden jedyny posiłek: talerz zupy. Chasydzi słyszeli szmery ze środka, mogły to być myszy, ale chasydzi mówili, że to dusze, które szukają u cadyka zbawienia.

Mówili też, że cadykowi wytrysnęło źródło, dzięki któremu przestrzegał obowiązku rytualnej kąpieli. Podobno była to woda ze źródła Miriam, które dawno temu, zamknięte w kamieniu, towarzyszyło Żydom w wędrówce przez pustynię. Jeśli tak - jeśli tryskało źródło i zegar bił głosem narzeczonej, i dusze szukały zbawienia, to jasne, że Menachem Mendel mógł spędzić dwadzieścia lat w okrągłej wieżyczce.

., Widok

Z trzech okien widać trzy strony świata - wschód, zachód i południe.

Widać także ulice Kocka.

Jedna prowadzi na rynek i do pałacu, inna do grobu Berka Joselewicza, jeszcze inna do Woli Gułowskiej i na wojskowy cmentarz, jeszcze inna do piwnicy Apolonii Machczyńskiej.

Do pałacu

Najpierw mija się ulicę urzędów - gminy i banku spółdzielczego. Następnie mija się bary, których otwarte drzwi odsłaniają brudną podłogę, mokre stoły i kwaśny odór piwa. Następnie mija się rynek: kilkunastu mężczyzn, z widocznymi brakami w uzębieniu, jeszcze pijanych albo trzeźwiejących powoli, albo skacowanych po wytrzeźwieniu i marzących o wypiciu klina. Mija się pusty cokół z napisem "Tadeusz Kościuszko" i dochodzi się do pałacu. W tym to pałacu, w którym przed ponad dwoma wiekami mieszkała księżna, a przed pół wiekiem mieściło się gestapo, dano ostatnią szansę Apolonii Machczyńskiej.

Cokół

Postanowili zbudować pomnik siedemdziesiąt lat temu, zaraz po pierwszej wojnie. W Kocku stacjonowała dywizja, którą osobiście dowodził pod Maciejowicami, w Kocku mieszkała

87

księżna, która utrzymywała dywizję i jest niemal pewne, że bywał tutaj niejednokrotnie.

Wzniesiono cokół, przybito napis: "Tadeusz Kościuszko" i wyrzeźbiono pomnik. Niestety, w drodze na ten cokół odpadła mu ręka. Pomnik zawrócono, ustawiono w pałacowej oranżerii i stał tam trzydzieści lat - z jedną ręką na piersi, z drugą uniesioną ku górze, lecz uniesione było tylko przedramię, bo ręka nie odnalazła się nigdy. Kiedy w październiku trzydziestego dziewiątego, po klęsce Kleeberga, pałac zajęli Niemcy, zatopili Kościuszkę w bagnie. Przeleżał kolejne trzydzieści lat. W rocznicę bitwy kockiej nałęczowscy rzeźbiarze wyciągnęli go linami i traktorem. - I patrz pani, jaki tragizm - mówi Józef Mitura, przewodniczący Towarzystwa Przyjaciół Kocka, a zarazem dyrektor banku. -

Nie tylko ręki nie miał. Nie było już i głowy. Skompletowali całość i znów powstał problem: w odzyskanej ręce Naczelnik powinien coś trzymać, ale co. Ogłosili w prasie: czy ktoś pamięta, co trzymał Kościuszek w ręce zanim mu odpadła? Żadnego odzewu. Wobec tego włożyli mu w rękę szablę i przywieźli do Kocka. Wtedy dopiero pewna obywatelka przypomniała sobie o rulonie. Mógł to być tylko Uniwersał Połaniecki. Zabrali Naczelnikowi szablę, dali rulon - i już mieli stawiać na cokole, gdy okazało się, że woda bagienna naruszyła konstrukcję i pomnik nie wytrzyma świeżego powietrza. Raz jeszcze go zawrócono, stoi w oranżerii do dziś, cokol na rynku jest pusty.

Szkoła

Jakieś dziesięć lat po decyzji wzniesienia pomnika postanowili zbudować szkołę. Pomnik był dla Kościuszki, szkoła miała nosić imię jego wiernego żołnierza, Berka Joselewicza.

Powołano Komitet Obywatelski. Protektorat objął Józef Pił-sudski, marszałek Polski, członkami byli: hrabia - właściciel dóbr kockich, dowódca pułku strzelców konnych, ksiądz prałat, rabin Kocka i inne znakomitości.

Nakładem Komitetu ukazała się broszura na kredowanym papierze. Autor omówił na wstępie udział Żydów w Powstaniu Kościuszkowskim: Gdy pożar ruchawki ogarnął Rzeczpospolitą, niby błysk pioruna przedarł się do zakamarków żydowskich i pchnął cha-łatowca przed ołtarze wielkiego rozbudzenia. Zacytował uwiadomienie Kościuszki o pułku starozakonnym i odezwę pułkownika Joselewicza do współbraci: Gdyby i my się nie doczekali tego, to dziatki nasze przecież mieszkać będą bezpiecznie i swobodnie i nie będą się tułały jak dzikie zwierzęta... Wieczny w niebie tego chce, już są tego znamiona. Przedstawił i dalsze losy Berka: obronę Pragi przed wojskami Suworowa, Legiony i ostatnią potyczkę: Zawadził o Serokomle i zabawiał się na pługaniu spijaniem wiatów, gdy doniesiono, że w pobliskim Kocku znajduje się austriacka konnica; wpadł na rynek, rąbał na prawo i lewo, ugodzony w głowę odmówił poddania i ducha wyzionął posiekany niemal w kawały. Na zakończenie broszury autor wezwał obywateli do hojności i podał numer konta PKO, na które należy wpłacać składki.

Szkoły nie zbudowano.

Jeden z członków komitetu, który popadł w poważne tarapaty finansowe, pożyczył sobie zebrane pieniądze i nie zwrócił. Siedział w więzieniu jakiś czas, później miał areszt domowy, później wybuchła wojna. Podczas wojny ukrywał u siebie Maniusię, niedoszłą uczennicę szkoły-pomnika i jej matkę, panią Zygielman. Mąż pani Zygielman był radnym miejskim i członkiem komitetu budowy, ona była wziętą krawcową, u której szyła sama hrabina. Nie wszystko, naturalnie, bo balowe kreacje sprowadzała od Hersego, ale sukienki na co dzień szyła hrabinie wyłącznie pani Zygielman.

Szkoły nie ma.

Uratowano dwie Żydówki.

Ernest Łuniński, Berek Joselewicz. Kock 1928.

89

A gdyby członek komitetu nie popadł w poważne kłopoty finansowe? Gdyby nie trapiło go później poczucie winy? Czy Manusia i pani Zygielman przeżyłyby wojnę?

Może i lepiej, że szkoły nie ma.

Do grobu Berka Joselewicza

Pochowano go w polu, przy drodze.

Dziwne to: zginął w mieście, w którym były dwa cmentarze, żydowski i polski, a leży przy drodze polnej. Jedni mówią, że dlatego, bo nie chciał go nikt - dla Żydów był zbyt polski, dla Polaków pozostał Żydem. Inni, na odwrót, mówią, że chcieli go i jedni, i drudzy. Nie mogąc się pogodzić, usłuchali zagadkowej rady

rabina: powierzyli sprawę wołom. Wóz z trumną zaprzęgli w dwie pary wołów i patrzyli w stronę którego cmentarza powiozą. Nie ruszyły do żadnego cmentarza, tylko na Białobrzegi. Żałobnicy za nimi, ciekawi, jak daleko przyjdzie im iść, na szczęście w połowie drogi, przy wzgórzu, zwierzęta stanęły. Zdjęto z wozu trumnę, wykopano grób i pochowano pułkownika.

W setną rocznicę śmierci hrabia ufundował mu kopiec, kamień nagrobny i inskrypcję, kończąca się słowami: Nie szacherką, nie kwaterką, lecz się krwią dorobił sławy. W setne rocznice zgonu 1909.

Józef Mitura, mija kopiec codziennie w drodze do pracy. Zobaczył kiedyś gromadkę dzieci, jedna z dziewczynek, na widok grobu, przeżegnała się, koleżanki zaczęły się śmiać - "Co ty, przed Żydem się żegnasz?" - i speszona dziewczynka zawróciła, próbując się "odżegnać", unieważnić poprzedni gest. Drobne to zdarzenie sprawiło, że Józef Mitura zaczął się opiekować grobem. Ufundował ogrodzenie, żeby krowy nie pasły się na Berku, a każdego roku, w Zaduszki, wracając z cmentarza od swoich, zapala na kopcu znicz i saltuje, oddając pułkownikowi honory wojskowe.

Pisarz Józef Opatoszu, który urodził się w Mławie, wyjechał do Ameryki i uważany jest za klasyka żydowskiej powieści, umieścił akcję najgłośniejszej swojej książki pt. W polskich lasach - w Kocku. Jej bohaterem jest młodzieniec niefortunnie zakochany, więc wysłany przez ojca na naukę do kockiego cadyka. Droga jest długa. W karczmie przydrożnej spotyka młodego szynkarza, który w gorączkowym uniesieniu dowodzi, że suma kątów w trójkącie może być mniejsza niż 180 stopni (bo były to czasy, gdy młodzi karczmarze pisali po nocach dzieła, obalające system Euklidesa). Przy wjeździe do miasta spotyka z kolei starca z kosturem, weterana starozakonnego pułku. - Pomne... - opowiada starzec - nocka była jasna, gwiazdy leżały gęsto obsypane jak ospa wietrzna... Siedzieliśmy przy ogniskach, gawędzili, odmawiali kawałki modlitwy i inne strofki żydowskie a rano (walki na Pradze wypadły w Święto Jom Kipur, ale rabin dał pułkowi dyspensę) rozpętała się bitwa. Powietrze gorzało, ogień ział i ział... Berek biegł z jednego okopu do drugiego, trzy konie w ten ranek pod nim padły, a co raz jak krzyknął pal - harmaty huknęły... Biliśmy się o każdą piędź ziemi, a krew się lała jak woda...

Stary wiarus - ogniska nocą - trzy konie - piędź ziemi... Magiczny świat polskiego romantyzmu, który żydowski pisarz zabrał ze sobą z Mławy i Kocka do Nowego Jorku.

- Nie była to sielanka, nasze wspólne życie na tej ziemi - mówi Józef Mitura - ale wszystko jedno, tak długo żyliśmy razem, a tu, patrzę, cmentarz zaorany. Ma na myśli żydowski cmentarz, potocznie zwany kirkutem, który pewnego dnia starannie zaorano i zasadzono drzewa.

Po tym zdarzeniu pozostały w Kocku dwa groby żydowskie: Menachema Mendla, cadyka, i Berka Joselewicza, pułkownika Wojsk Polskich.

Cadyka - bo był to murowany grób i traktor nie dał rady reszcie cegły.

Józef Opatoszu, W polskich lasach. Przekład Saul Wagttiari. Warszawa 1923.

90

91

Pułkownika - bo sto osiemdziesiąt lat temu woły, ku zdumieniu żałobników, nie chciały pójść na żydowski cmentarz; bo poszły drogą polną; bo postanowiły uchronić Berka przed zaora-

niem.

Do Woli Gułowskiej
Jedzie się przez Serokomlę. W której Berek siedział na pleba-nii, spijając wiaty. W której w październiku trzydziestym dziewiątym Polacy wzięli do niewoli kilkudziesięciu Niemców, ale już nie mieli co z nimi zrobić, wyprowadzili więc

na ra-dzyńską szosę, dali papierosy i rozkazali maszerować na wschód: do swoich, do bolszewików.

Jedzie się przez ziemie, na których miejscowości noszą nazwy - Krzywda, Ofiara, Samokłęski... Na których wszystko działo się po raz ostatni.

Tutaj nigdy nie było początków. Tu były końce. Tutaj walczył po raz ostatni Berek Joselewicz. Tutaj walczył po raz ostatni generał "Kruk", bohater powstania styczniowego.

Tutaj walczył po raz ostatni generał Kleeberg. Jakby wybierali sobie te miejsca i z daleka przyjeżdżali specjalnie po to: by przegrać. Jakby ta ziemia do niczego innego niż klęska i śmierć już się nie nadawała.

Wciśnięta między Niemców i Rosjan, między Kock, Wolę, Krzywdę i Ofiarę, tu właśnie, w trzydziestym dziewiątym roku dogasała wolna Polska.

I jeszcze raz zakończyła się, i znowu tutaj: w lipcu, w czterdziestym czwartym. Dwa dni po tym, jak Kock wyzwoliła wołyńska dywizja AK. Były flagi i kwiaty, i wolność, a po dwóch dniach z lasów parczewskich przyszli komunistyczni partyzanci. Rozbroili akowców. Wolność się skończyła. W ogóle początków nie było. Były końce. Fatum jakie, czy co?

92

Do Woli Gułowskiej - cd.

Najcięższe walki, w trzydziestym dziewiątym roku, toczyły się w październiku, w lasach, w okolicach cmentarza i kościoła Woli Gułowskiej. - Tylko deski trumien, kości nieboszczyków i grudy ziemi w górę leciały - a teraz jest wiosna, senna cisza. Listę nazwisk nad zbiorową mogiłą otwiera Bartula Michał, major, gdzieś przy końcu, bo na "W", jest Wilski Tytus, porucznik, obaj znani z opowiadania kleeberczyka, Mariana Brandysa. Bartula był ponury, Wilski piękny, żołnierz przy studni, z hełmem w rękach - bardzo młody... Żołnierz - mówi o nim Brandys. Kościół zdobyli rano. Po zwycięstwie rozsiedli się na placu. Pośrodku, przy studni, ów żołnierz pił wodę z hełmu. Nagle z wieży kościelnej bluznął ogień, żołnierz nie dopił i upadł; kiedy pośpiesznie kierowali cekaemy w stronę strażaków, usłyszeli wołanie z wieży: "Nie strzelać, to my, szósta kompania...". Szósta kompania popełniła bowiem drobny błąd w trudnej sztuce nastawiania celowników.

Kościół jest, wieża jest, studnia stoi: z korbą, z zardzewiałym łańcuchem, z drewnianym daszkiem, przekrzywionym, jak na biednym, żydowskim domu - i nikogo dookoła, żadnych przegranych, żadnych zwycięzców.

Dowództwo Kleeberga kwaterowało niedaleko stąd, w zabudowaniach Tymoteusza Karczmarza. Gospodarz pokazuje gdzie byli żołnierze, gdzie generał, gdzie broń, ale czyni to z roztargnieniem. Bardziej interesuje go terażniejszość, mianowicie -urynkowanie rolnictwa. Co zagwarantują? Za ile? - Jaki tam rynek, pani.

Wszystko i tak będzie, jak chce rząd, a każdy rząd patrzy tylko, żeby samemu sobie tyłek wyłocić.

Kleeberg podpisał kapitulację po południu, wkrótce potem batalion, w którym służył Marian Brandys, wyruszył do niewoli. W połowie drogi wydano komendę - Bacność, na lewo patrz - i rozeszła się pogłoska, że polski generał razem z generałem niemieckim odbiorą defiladę.

Komenda zbliżała się do nas. Jeszcze sto metrów... jeszcze pięćdziesiąt. .. już!

93

Nie było tam niemieckiego generała. Na skraju lasu stał prosty krzyż nad świeżo usypane mogiła. Na mogiłę leżała majorska czapka.

W śmiertelnej ciszy, wybijając równy krok, batalion majora Bartuli defilował po raz ostatni przed swym dowódcą.

I właśnie wtedy, w skupione cisze leśną, wdarł się nowy, nieznanый hałas... od którego zamarły serca. Przypominało to głos drewnianej kołatki, która w dzieciństwie wypłaszano nas wieczorami z parków miejskich, kiedy zbyt długo przeciągała się nasza zabawa w wojsko.

Na niemieckim punkcie kontrolnym jeńcy polscy rzucali karabiny na stos. Nasza dziwna zabawa była skończona .

Do piwnicy Apolonii Machczyńskiej

Apolonia Machczyńska (po mężu świętek, do końca nazywana przez obcych Machczyńską, a w rodzinie Połą) była prawnuczką powstańców styczniowych. W Kocku i w pobliskich Ple-bankach mieli gospodarstwo, które jej kuzynka nazywa majątkiem. W Kocku, w jednym z pomieszczeń gospodarczych, które ludzie nazywają piwnicą, a kuzynka spichlerzem, w spichlerzu czy też w piwnicy, Apolonia Machczyńska, matka trojga dzieci, ukrywała dwudziestu pięciu Żydów. Mieszkali u niej od pierwszych dni listopada 1942 do końca stycznia. Dwudziestego szóstego stycznia, w niedzielę, zaraz po sumie, dzieci wychodzące z kościoła zauważyły dym nad jakąś ziemianką. Zawiadomiły Niemców. W ziemiance znaleziono kobietę, Żydówkę, z czwórka dzieci. Niemcy powiedzieli kobiecie, że darują życie dzieciom, jeśli powie, gdzie ukrywają się inni Żydzi. Kobieta uwierzyła, że Niemcy darują życie jej dzieciom. Powiedziała: U Machczyńskiej. Niemcy postawili Machczyńską pod ścianą i szykowali broń, gdy wbiegła sąsiadka z krzykiem, że nie tutaj, że trzeba dalej iść, była to bowiem inna Machczyńska, stryjeczna siostra Apolonii. Niemcy pobiegli do właściwej Machczyńskiej i otworzyli piwnicę. Marian Brandys, O królach i kapuście. Warszawa 1964.

94

Najpierw zastrzelili dwudziestu czterech Żydów - dwudziesty piąty, imieniem Icek, wnuk starego Zakalika, właściciela młyna, miał mauzera i ostrzeliwując się dopadł lasu. Wyłaniał się z tego lasu co pewien czas i strzelał do ludzi, o których mówiło się, że zabijają albo denuncjują Żydów.

Po dwudziestu czterech Żydach przyszła kolej na Apolonię Machczyńską, która uciekła do Plebanek, a po powrocie z Ple-banek Niemcy przypomnieli sobie o Żydówce z dziećmi, którym obiecali życie. I w tej sprawie zdania są podzielone. Jedni mówią, że Żydówkę z dziećmi zastrzelili od razu po dwudziestu czterech i dopiero pojechali, inni - że wrócili i dopiero sobie przypomnieli o Żydówce. Między znalezieniem Żydówki i Plebankami upłynęło kilka godzin. W tym czasie Apolonia Machczyńska, ostrzeżona przez znajomego Niemca z Pałacu szukała kryjówki dla swoich dzieci. Chodziła od domu do domu, ale nikt ich nie przyjął. Chodziła powoli, z opuszczoną głową, z rozwiązany sznurowadłem w jednym bucie i to sznurowadło wlokło się za nią po śniegu. Kiedy zrozumiała, że nie ma dokąd pójść, pojechała z dziećmi saniami do Plebanek. Mieli tam las i drewniany dom, w którym spędzali wakacje. Nie próbowała się schować. - Mogła choćby w las iść, choćby za jałowcem przycupnąć - mówi kuzynka -ale nie schowała się. Weszła do domu. Mimo zimna zdjęła sukienkę i buty. Przebrała się w nocną koszulę i położyła się do łóżka. Dzieci bawiły się przed domem śnieżkami. Po kilku godzinach przyjechały dwie pary sań. Na jednych siedzieli Niemcy, na drugich trzej Żydzi pod konwojem, czwarty Żyd był wleczony za saniami na powrozie. Apolonię Machczyńską i jej troje dzieci postawiono pod ścianą. Ścisłej - postawiono Apolonię Machczyńską i dwóch synów, z których starszy miał siedem, a młodszy pięć lat; roczną córkę trzymała pod tą ścianą piastunka. Nie jest jasne, dlaczego córki nie trzymała Apolonia Machczyńska, może dlatego, że już nie miała sił. Nie jest również jasne, dlaczego Niemcy zmienili zamiar i nie zastrzelili dzieci. Zostawili je w Plebankach, a Apolonii Machczyńskiej kazali wejść na sianie. Na te z trzema Żydami - czwartego, przywiązanego,

95

który już nie żył, odcięto od powroza i też zostawiono. Przyjechali na Kolonię Annapolską. Za stodołą Czarnoty trzej Żydzi wykopali grób dla siebie i dla Apolonii Machczyńskiej.

Po sumie

Tego dnia był śnieg.

W śniegu myła ręce kobieta, którą znaleziono w ziemiance. Umyła najpierw sobie, potem dzieciom, a ludzie stali dookoła i patrzyli. Musiał to być dziwny widok: Żydówka, myjąca ręce w śniegu, na rynku, w biały dzień, zaraz po sumie. W śniegu grzęzły sanie, którymi jechała do Plebanek Apolonia Machczyńska ze swoimi dziećmi. Starszy syn zapamiętał, że śnieg sięgał koniom po kolana. Śniegiem bawiły się dzieci Apolonii Machczyńskiej. Na śniegu, koło piwnicy czy spichlerza, siedziała dziewczynka. Miała jakieś dziesięć lat. Dookoła trwała strzelanina. Niektórzy uciekali przez pola w stronę szosy, inni już leżeli wśród zabudowań - z początku Niemcy strzelali z pistoletów, potem przynieśli karabin maszynowy i pociągnęli serią, ale dziewczynka nie zwracała na to wszystko żadnej uwagi. Siedziała spokojnie, lekko unosząc ramiona, jakby osłaniając się od huków. Kiedy Niemcy wrócili z pola, jeden zauważył dziewczynkę. Wyjął rewolwer. Strzelił jej w tył głowy. Ona siedziała dalej, tylko włosy uniosły się od podmuchu - tak frunęły jej te włosy - tak wuuu - Żydzi leżeli dookoła, a ona siedziała dalej; jakby nigdy nic, tylko się jeszcze trochę skuliła w sobie i tylko jej te czarne włosy tak wuuu, tak - - -

Przez śnieg biegli Żydzi, a potem leżeli, na całej szerokości pola, od spichlerza do szosy. Najpierw leżeli w ubraniach, a kiedy Niemcy odjechali, przyszli ludzie i zdjęli z nich ubrania i buty, i Żydzi leżeli nagi. A kiedy odeszli ludzie z butami i ubraniami, przyszli okoliczni chłopcy i zaczęli te ciała ustawiać. Po dwa, po trzy, w różnych pozach one były, jak kto padł, więc jedne opierały się o drugie jak snopy. Dwadzieścia cztery trupy,
96

więc stało tych snopów z siedem, z osiem, na całym polu. Jak posągi stały, nagie i sztywne, białe posągi na białym polu, przez noc> a rano przyjechali Niemcy i kazali rzucić na furmankę i wywieźć na kirkut.

- Jedną nogą stoję w niebie, a drugą w najgłębszych otchłaniach piekieł. Niech wam się nie zdaje, że to jest łatwe - powiedział przed śmiercią Menachem Mendel, cadyk z Kocka.

Do piwnicy Apolonii Machczyńskiej - cd.

Z dziesięciobocznej wieżyczki widać początek ulicy Polnej.

Ulicą tą, piątego listopada 1942, wieziono kockich Żydów na stację kolejową do Bedlna. Jechali furmankami. Przed wojną mieszkało w Kocku dwa tysiące dwustu czternastu Żydów, dwudziestu pięciu było w spichlerzu, niektórzy ukrywali się w okolicy, furmankami trzeba było przewieźć około dwóch tysięcy. Na furmankę wchodzi dwadzieścia osób - a jeszcze plecaki, poduszki, jakaś miska, jakiś garnek... Musiało być ze sto tych furmanek. Jechały od świtu do późnego popołudnia. Jechały Polną, mijały po prawej stronie dom cadyka, potem młyn Zakalików, potem po lewej stronie spichlerz Machczyńskich, potem pole za spichlerzem, potem dojeżdżały do szosy radzyń-skiej i skręcały w prawo. Z Bedlna jechali koczcy Żydzi wagonami towarowymi do Treblinki.

Dzień wcześniej, czwartego listopada, Apolonia Machczyńska przyszła do rodziców młodej dziewczyny, Ryfki Blatt. Zaproponowała jej schronienie w Warszawie u swoich teściów. Stwierdziła, że nie jestem podobna do Żydówki i byłby grzech dać mi zginąć - pisała Ryfka Blatt do syna Apolonii Machczyńskiej, Sławomira Świątka. Pan sobie tych czasów nie przypomina, ale mogę pana zapewnić, że takie słowa wtenczas z ust Polaka rzadko słyszano. Byłam pewna, że za to mam zapłacić i takie zapłaty były związane z ogromnymi sumami, a ja nawet małej sumy nie miałam. Mama się roześmiała i mówiła: przecież nie mówiliśmy o pieniądzach.

97

Apolonia Machczyńska dała Ryfke Blatt aryjskie dokumenty, z którymi wyjechała do Warszawy, a później na roboty do Niemiec. Babcia pana przyrzekła się za mnie modlić i codziennie zmówić za mnie różaniec. Raz, gdy byłam w bardzo złym

położeniu, nawet pisałam do babci odkn/tke i prosiłam, żeby się za mnie modliła... - pisała Ryfka Blatt z Izraela do syna Apolonii Machczyńskiej.

Dom - cd.

Idąc ulicą Polną do miasta, Apolonia Machczyńska mijala dom z dziesięcioboczną wieżyczką. Wiedziała, że mieszka w nim rabin - wszyscy wiedzieli.

Rabin Josef Morgensztern był prawnukiem Menachema Mendla, cadyka.

Czy Apolonia Machczyńska znała to imię: Menachem Mendel? Myślę, że nie. Myślę, że cały ten narożny, drewniany dom nie zaprzętał jej uwagi aż do dnia, w którym usłyszała głośny trzask. Nie potrafiła go zidentyfikować - wtedy nikt jeszcze nie znał odgłosu spadającej bomby. Usłyszała trzask, potem krzyk, potem schowała się razem z innymi w krzakach na cmentarzu. Kiedy wróciła, wszyscy już wiedzieli: bomba spadła na schron rabina.

Schron zbudowano za domem, między drzewami.

Z ulicy, nad ogrodzeniem, widać było gałęzie drzew, rosnących u rabina: grusze, śliwy, jabłonie - te dawne jabłonie, prawdziwe. Widać było papierówki, kronselki, kosztele... Dziewiątego września papierówek już nie było na drzewach, ale kosztele tak, i kronselka, chyba że ją zdjęli wcześniej, jeszcze zieloną, na wino.

Na gałęziach tych drzew, wśród jeszcze nie zebranych i nie straconych wybuchem owoców, wisiały strzępy ubrań i ciał rabina i jego krewnych, rozerwanych pierwszą bombą, zrzucaną na Kock.

; Los rabina wydawał się ludziom straszny, ale nie był straszny, był wspaniały. Rabin zginął nie w komorze gazowej, bez męczarni, w otoczeniu rodziny, wśród drzew...

Przed dom z wieżyczką zajeżdżają autokary biur podróży, warszawskie taksówki i samochody z zagranicznymi numerami. Z autokarów wybiegają dzinsowi chłopcy w jarmułkach i dziewczyny z czarnymi włosami, z samochodów wysiadają poważni, brodaci panowie. Rzadko wchodzą do środka. Rozglądają się, ich polscy kierowcy pytają lokatorów, czy nie ma kto starych, żydowskich książek i jak czerpie się wodę z ulicznej studzienki. Rozmawiają między sobą w dziwnym języku i jada dalej.

Któregoś dnia przed domem pojawia się starzec. Niskiego wzrostu, z gęstą, siwą brodą, w staroświeckiej, atlasowej kapocie, w białych pończochach. Mieszkańcy już i chasydów widywali, więc się nie dziwią, zastanawia ich tylko fatalny stan ubrania. Atlas jest przetarty i wystrzępiony, pończochy brudne, w dodatku nigdzie nie widać samochodu.

Starzec rozgląda się... W podwórzu - na którym nie ma już śladu owocowych drzew, ani dawnych, prawdziwych, ani dzisiejszych - przy długim stole stoją mężczyźni; pochyłem nad drewnianymi korytkami formują cementową cegłę.

- Pan szanowny nie mieszka w Polsce... - zagaduje najstarszy.

- Mieszkam wszędzie, gdzie mnie wpuszczą - odpowiada gość niezłą polszczyzną.

Mężczyzna słucha ze zrozumieniem. Jest kierownikiem miejskiego kina, w tym tygodniu wyświetla wprawdzie "Supermana", a w zeszłym "Harakiri", ale oglądał w telewizji "Skrzypka na dachu" i wie, że starzy Żydzi lubili wygłaszać filozoficzne kawałki.

Człowiek w kapocie dotyka ścian. Patrzy na dach, który w Święto Szałasów można unieść brzozywymi podciągami...

- Panie starszy - kierownik kina podchodzi bliżej i zniża głos. - Pan czegoś szuka, prawda? Czy pan przypadkiem nie szuka gwoździ? ; ; -;.

Starzec nie rozumie.

- Ze złota - mruga porozumiewawczo kierownik kina, który nie daje się zwieść pozorom wystrzępionego chała ta.-- Wie pan przecież. Une porobiły gwoździe ze złota, powbijały w deski, pobieliły. Une cwaniaki były, ho, ho. Tylko gdzie? Gdzie mogły wbić, jak pan myśli?

- Gwoździe ze złota... - powtarza w zadumie starzec. - Kiedy Jechiel Meir, rabin z Gostynina, wygrał główny los na loterii i przybiegł się pochwalić, powiedziałem mu - "Nie ma w tym mojej winy...". Rabbi Jechiel natychmiast wrócił do domu i rozdał pieniądze między biednych... Nie ma mojej winy w gwoździach ze złota...

- Nie, to nie - mówi kierownik kina i wraca do cegły.

Gość chce wiedzieć, kto mieszka w wieżyczce. Tłumacza mu, że w domu mieszka siedem rodzin i podzielili się wszystkim: trzema wychodkami w podwórku, komórkami, strychem, a wieżyczka przypadła lokatorom z narożnego wejścia. W narożnym, zagraconym pokoju siedzi młoda, znerwicowana kobieta. Przygląda się kaftanowi i pończochom. Wszystkim, którzy wysiadają z aut bacznie się przygląda. Ostatnia wycieczka nie interesowała jej: obchodziła ich kuchnia kaflowa i trzeba im było pokazać, gdzie popiół, gdzie szyber, gdzie ruszt. Specjalnie dla nich podpaliła szczapki, a oni wsiedli do autokaru nim jeszcze ogień dogasi. Dzisiaj starzec. Ten? na niego to czekają?

Siedem rodzin z domu cadyka czeka na Żyda. Przyjedzie Żyd pewnego dnia, a jeszcze lepiej - przyjadą Żydzi, zbudują blok, każdej rodzinie dadzą mieszkanie, a w starym domu zrobią swojemu sławnemu cadykowi muzeum. Albo inaczej: przyjadą Żydzi, dadzą pieniądze, a każda rodzina pobuduje sobie domek oddzielny i na własność. Ona, założymy, pobudowałyby mężowi, sobie i dziecku, a teściowej musieliby Żydzi pobudować osobno. Teściowa już by rano nie wyjmowała z kuchni jej drewniek, tak zapobiegliwie ułożonych z wieczora na rozpałkę, nie odsuwałaby z fajerek jej garnka z kapustą na bigos, nie wkładałaby swoich drewniek... Gdyby tylko przyjechali ci Ży-

100

dzi i dali pieniądze, i zrobili wreszcie muzeum swojemu cadykowi.

Niestety, człowiek w wytartej kapocie, w brudnych pończochach, który się tu dostał nie wiadomo jak, bo żadnego zachodniego auta przed domem nie widać - może nawet pekaesem przyjechał - nie, ten człowiek nie wygląda na Żyda, na którego czekają.

- Nasz nauczyciel poszedł kiedyś z nami do lasu - mówi stary człowiek i z fałd kaftana wyjmuje fajkę. - Podniósł ziarno piasku, przyjrzał mu się i odłożył na miejsce. "Kto nie wierzy, że Bóg chce, aby to ziarenko piasku tutaj właśnie leżało, ten nie ma w sobie wiary", powiedział nasz nauczyciel.

- No właśnie - podchwytuje kobieta. - Ziarno pasku. A cóż dopiero drewnienka na rozpałkę.

Stary człowiek skinieniem potwierdza, że trafnie go zrozumiano, wypuszcza kłęb fajczanego dymu i kobieta uprzytamnia sobie, że wcale nie opowiadała dziwnemu Żydowi o drewnienkach...

Widok - cd.

Na przedłużeniu ulicy Polnej, jeszcze widocznym z wieżyczki stoja parterowe, drewniane domy. Z ulicy wchodzi się do dawnego sklepu, przerobionego na kuchnię.

W głębi jest pokój, za zasłonką miska i wiadro. Wszystko jest przemieszane: wersalka, lodówka, telewizor, zabawki, łóżko dziecięce, ze dwa składane łóżka, które się rozstawia na noc... Jak mogło to się WTEDY pomieścić? Lodówek i telewizorów nie było, za to meble większe, liczniejsze rodziny, no i sklep, który zajmował frontową izbę. Bławatny sklep był Cyrli, z lodami - Rota, z lemoniadą - Marchewki, z artykułami kolonialnymi - Nojlucha...

Lód do lodziarni brało się zimą z Tyśmienicy - przesypany trocinami leżał do września. Pierwsze lody robiło się trzeciego maja, w rocznicę Konstytucji, ostatnie dwudziestego dziewiątego września, na świętego Michała, na odpust. Prąd szedł od Za-

kalika. Miejskiej elektrowni Kock nie miał, elektryczność brało się z młynów: od Zakalika i od hrabiego Żółtowskiego. Płaciło się od żarówki, bez licznika, tylko któryś z synów Zakalika wpadał czasami sprawdzić: zgłoszona czterdziestka pali się, czy sześćdziesiątka, nielegalnie.

Zakalikowie ukryli się w piwnicy Apolonii Machczyńskiej i zginęli na polu (z wyjątkiem Icka, wnuka, który miał mauzera i nie wiadomo - zginął czy może żyje gdzieś), Cyrla zginęła w Treblince, normalnie. Rot też zginął, ale Rotówna przeżyła i po wojnie zgłosiła się po należność za zajęty dom. Wręczono jej część pieniędzy, resztę miała odebrać później, ktoś odwiózł ją z pieniędzmi do pociągu i słuch po Rotównie zaginął. Nojlich też wrócił, razem z kolegą. Spytał człowieka, który zajął jego dom, czy chce zapłacić i zostać; bo jeśli nie, to on, Nojlich, poszuka sobie innego kupca. Człowiek, który zajął dom, odparł, że się zastanowi. Nojlich z kolegą powiedzieli, że wrócą nazajutrz i poszli na wieś. Nie wrócili nigdy. Człowiek, który zajął dom, mieszkał w nim aż do śmierci, a im starszy był, tym częściej wracał do dawnej historii. Wystawiał krzesło przed dom, obok wystawiała krzesło sąsiadka, siadali po południu i rozmawiali aż do wiadomości telewizyjnych.

- Przygotowałem pieniądze, chciałem dać, a on nie przyszedł. Wyjechał? Tak bez pieniędzy?

Sąsiadka była zdania, że Nojlich bez pieniędzy nie wyjechał-by.

- No właśnie - mówił człowiek, który zajął dom. - To co się z nim stało?

Z mieszkania dochodził sygnał dziennika, przerywali rozmowę i zabierali krzesła, a nazajutrz, jeśli było ciepło, wystawiali znowu.

- Nie mogłem spać przez ten wiatr... - mówił mężczyzna. -Wie pani, co sobie myślałem? Że im na tej wsi coś chyba zrobili.

- Ale dlaczego? - pytała sąsiadka.

- No właśnie.

102

- Żebym choć wiedział, gdzie leżą - zaczynał innego dnia, kiedy nad Kockiem przesuwiał się front atmosferyczny - poszedłbym, kwiatek bym położył...

Jednego roku człowieka, który zajął dom, spotkało nieszczęście. Córka, która przyjechała do rodziców na swoje imieniny, na Zofii, zginęła w wypadku. Maj był, pogoda piękna, samochód nagle zarzucił i dziewczyna zginęła. Ona jedna, inni wyszli z wypadku nie draśnięci.

Ludzie opowiadali, że nosiła wtedy dwa pierścionki. Oba złote, na każdej ręce po jednym. Piękne, duże - mówili ludzie. -Ojciec musiał jej dać na imieniny. Dwa złote pierścionki, z niedzisiejszego złota.

Nie jestem pewna, czy historia, którą powtarzam jest prawdziwa.

Czy to możliwe, by Wielki Scenarzysta ułożył aż tak kiczowatą historię?

Próbuję sobie wyobrazić te sceny.

Uliczka małego miasta, typowego sztetl, które budzi odrazę w postępowych Żydach na całym świecie...

Drewniane, parterowe domy...

Dwa krzesła...

Niewidoczna stąd stoi bóżnica na ulicy Radzyńskiej, w której polscy chłopcy wybijają szyby dla żartu...

Próbuję sobie wyobrazić całkiem współczesne sceny: z anteną na dachu, z sygnałem dziennika, dolatującym z mieszkania, i z dwojgiem starych ludzi, pośpiesznie zabierających z ulicy krzesła, więc jaka bóżnica? Bóżnicy nie ma. Niemcy spalili ją, a potem zawieźli resztę cegły do pałacu, pookładali klomby i wyłożyli dziedziniec.

Próbuję sobie wyobrazić współczesne sceny, więc dlaczego nad jednym ze sklepów wisi szyld: "Art. bławatne Cyrla Opelman"? I skąd przed sklepem te dzieci,

dziesięcioletnia dziewczynka z bardzo czarnymi włosami i młodszy od niej, blady, pejsa ty chłopczyk... ?

W dodatku sklep Cyrli Opelman mijają właśnie zaaferowany Salomon Nojlich, wracający do domu. Cyrli Opelman woła: -

103

Dzień dobry, panie Nojlich - albo - prościej znacznie - Salek! Jak się masz! Albo mówi po żydowsku, że dostała z Lublina cudny materiał, białe grochy na granatowym tle, w sam raz na letnią sukienkę dla pani Nojlichowej... Ale Salomon Nojlich już nie słyszy babskiej gadaniny Cyrli. Zbliżyła się do swoich drzwi, do swojego własnego domu, zbudowanego przez jego ojca, błogosławionej pamięci Mosze Majera Nojlacha, i z ogromnym zdumieniem widzi przed domem dwa krzesła. Na jednym siedzi mężczyzna, w czarnym ubraniu, oparty rękami o łaskę, na drugim kobieta, trzymająca nogi, rozdęte żyłakami, na niskim stołeczku i ten mężczyzna opowiada kobiecie o jakiejś córce. Że studiowała komputery. Że brakowało jej jednego egzaminu do końca. I że ludzkie gadanie o pierścionkach jest podłe, bo pierścionki były przywiezione ze Lwowa, pociągami przyjaźni. Na co kobieta zauważa, że pierścionki z pociągu przyjaźni są jednak zupełnie inne - cieńsze, z dzisiejszego złota...

- Dwadzieścia cztery lata - płacze mężczyzna. - Jeden, jedyny egzamin...

- Nebech - wzdycha ze współczuciem Salomon Nojlich. - Biedactwo.

Mężczyzna podnosi na niego wzrok.

- To pan, panie Nojlich? Gdzie się pan tak długo podziewał? To chce pan kupić ode mnie ten dom? Bo jak nie, to ja sobie znajdę innego kupca...

Strych

Dwa tysiące dwieście dziewięć...

Mówię o statystyce.

Nie dwa tysiące dwieście czternaście, bo przecież uratowały się Mamusia Zygielman z matką, Ryfka Blatt, a także mężczyzna, ukryty przez polską pannę z dobrego domu, z którą się ożenił, a także mężczyzna na strychu. Chodzi o strych wędrownego szewca, który naprawiał buty po jarmarkach i ukrywał żydowskie małżeństwo. Zimą Żydówka umarła na zapalenie płuc.

104

Szawc położył na furmankę zwłoki i szpadel, przykrył derką i ruszył za miasto. Na drodze minął ich niemiecki samochód, spłoszył konia i wyrzucił furmankę. Niemcy zatrzymali się i zrobili gest, jakby chcieli pomóc... Szawc szybko ukląkł, na kolanach przeproszał, że naśmieszył na drodze i przyrzekł, że posprząta. Niemcy odjechali, szawc pochował Żydówkę i wrócił do domu. Do końca wojny oboje, szawc z żoną, przeżywali tamtą scenę tak, jak się mogła zdarzyć. Niemcy mogli podnieść furmankę, znaleźć żydowskiego trupa, przyjechać do domu, znaleźć żywego Żyda i całą trójkę - Żyda, szewca i żonę postawić pod ścianą. Nic takiego się nie stało. Wojna skończyła się. Żyd przeżył i wyjechał z Polski. Zaraz potem szawc umarł na serce. Zaraz po nim umarła na serce jego żona. Tak, że poza panią Zygielman, Maniusią i szczęśliwym wybrańcem polskiej panny - jeszcze i mężczyzna ze strychu, choć nie jest pewne, czy był to mieszkaniec Kocka. Może wędrowny szawc skądś go przywiózł - z Biłgoraja, Tarnobrodu, Szczebrzeszyna, Sieniawy, Frampola, Birczy... W takim razie w którymś z tamtych miast należałoby skorygować odejście.

Dom- cd.

Heszle Klepfisz urodził się w Żyrardowie, podczas wojny był rabinem w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie. Stracił w Polsce rodziców, żonę i rodzeństwo. Po wojnie zamieszkał w Panamie, został profesorem uniwersytetu i pisał o chasydyzmie.

W jednym z esejów opowiedział, jak skończyła się dla niego wojna.

Ż armią amerykańską wszedł do Bergen-Belsen.

Zobaczył stosy nie pogrzebanych ciał. Z garstką ocalałych Żydów spędził piątkowy wieczór, pierwszy szabas po drugiej wojnie światowej. Przez cały szabasowy wieczór rozmawiali

Heszel Klepfisz, Culture of Compassion. New York 1983.

'*

105

o Menachemie Mendlu. Potem śpiewali pieśń kockich chasy-dów z dziwnym refrenem: Jeszcze nie, jeszcze nie, jeszcze nie... Jeszcze jesteśmy u stóp góry, jeszcze jej nie zdobyliśmy... Jeszcze żeśmy się nie modlili, jeszcze nie dopełniło się... Jeszcze nie, jeszcze nie, jeszcze nie...

Ziemski, żydowski Kock przestał istnieć - napisał Heszel Klep-fisz. - Bergen-Belsen stał się dla nas pewnością, że duch Kocka będzie nam towarzyszył w wędrówce przez wieki.

Bergen-Belsen... Szabas... Kock... Taki to epilog wymyślił Wielki Scenarzysta. Mógłby się więc zgodzić na jeden jeszcze, niewielki i - na ile w cudach jest to możliwe - całkiem logiczny cud.

Stary Żyd w wytartym atlasowym kaftanie bierze od kobiety z narożnego mieszkania klucz do wieżyczki i wdrapuje się po drabinie na strych. (Na strych! W tym kaftanie, który przydep-tuje od razu na pierwszym szczeblu). Pan Tadzio, który mieszka w izbie pod dachem podnoszonym w święto Szałasów, sam chwiejąc się lekko, przytrzymuje mu drabinę.

- Nie chcę ci już, człowieku, dodawać smutku - mówi pan Tadzio do starca, pokonującego drugi szczebel - ale ja pochowałem żonę, jakbyś przyszedł innego dnia, to byśmy porozmawiali, ale nie dziś, czwarty dzień jak mi umarła, w niedzielę, przez okno zobaczyłem cię i myślę sobie - to jest ktoś, kto chce wiedzieć, to wiedz, że mój ojciec we młynie robił, u Zakalików, i najlepszy był przyjaciel Icka w całym mieście, Icek był od elektryki, a mój ojciec od stolarki, a potem Zakaliki, no ile, no parę metrów stąd, w piwnicy, i tylko Icek, bo miał mauzera, najlepszy przyjaciel ojca w całym mieście; przykre to są sprawy i nie chcę ci już tego smutku dodawać, żyj sobie, mój kochany, ze sto osiemdziesiąt lat...

Starzec wyjmuje z kaftana brudną, pogniecioną chustkę. Strzepuje lekko - wysypują się z niej okruchy tytoniu - i podsuwa panu Tadziovi, żeby otarł łzy. Po ojcu? po żonie? po leku Zakaliku? Następnie nie oglądając się wchodzi na górę. Otwiera drzwi wieżyczki.

106

Staje przy oknie, przy tym, którego nikt nie uchylił, tylko ma szybę wybitą, wyjmuje z kaftana fajkę, ubija tytoń i wypuszcza pierwszą smużkę dymu. Uśmiecha się na myśl, że ktoś porównywał te wątle smużki do dymu ofiary całopalnej, unoszącego się dniem i nocą ku posępnemu kockiemu niebu. Niebo nie jest wcale posępne. Jest błękitne, świeci na nim ciepłe, wiosenne słońce.

Z głębi ulicy nadchodzi kobieta. Słońce ma za plecami, twarz nieczytelna, opuściła głowę, jakby była zamyślona, zmęczona albo senna.

- Zarzucają mi, że milczę - mówi starzec. - A przecież milczenie może być najgłośniejszym krzykiem świata.

Mówi to w słoneczną przestrzeń, w stronę nadchodzącej, ale ona mija narożny dom, nie słysząc i nie podnosząc oczu. Starzec widzi teraz jej rude, splątane włosy i jej ciężarny brzuch, na którym nie dopina się stare, zimowe palto.

- Zarzucają mi, że jestem złamanym człowiekiem, a przecież nic nie jest bardziej całe niż złamane żydowskie serce - mówi do jej pleców, do jej bezwładnych, samotnych rąk, do rozwiązanego sznurowadła, które się za nią wlecze po ulicy.

107

Spis treści

. 5

35

55

72

82

Powieść dla Hollywoodu Hipnoza

Syndrom ocalonych Listy do cadyka

Naróżny dom z wieżyczką

109

KSIĄŻKI HANNY KRALL W WYDAWNICTWIE a5

Dowody na istnienie 1995,1996,1999,2000, 2001

Zdażyć przed Panem Bogiem 1997,1998,1999,2000, 2001,2002

Tam już nie ma żadnej rzeki 1998,1999,2000,2001

Taniec na cudzym weselu 2001,2002

To ty jesteś Daniel

2001

Hipnoza

2002